



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

KOSZTOWNE OSZCZĘDNOŚCI.

Są rzeczy, na których dobre gospodynie zawsze oszczędzić mogą; są takie, na których oszczędzić powinny; ale są i takie rzeczy, na których oszczędzać nie trzeba i na których oszczędzać niewolno; bo dla materialnej korzyści traci się to, czego za żadne nie kupi się złoto, gdy się raz zmarnuje, to jest zdrowie, zmylone wychowanie dzieci, spacone wykształcenie młodzieży. A jednak, w bardzo dobrych nawet gospodarstwach, czyni się oszczędności wprost lekkomyślne, bez przeczności na przyszłość, bez rozsądnego przeczucia, że one później mścić się będą i wywołają konsekwentnie wydatki daleko większe niż kwoty zaoszczędzone poprzednio. Tym oszczędnościom przyjrzyjmy się bliżej. Podzieliłam je od razu już wyżej na trzy grupy, dotyczące zdrowia dzieci, ich wychowania i wykształcenia.

Zdrowie dzieci, pominawszy już dalekie cele społeczno-ludzkie, zdrowie pokoleń całych w przyszłości, ale biorąc od razu rzecz na miejscu, w samej rodzinie, jest to rodziny tej — spokój, ład, prawidłowy rozwój, bo choroba lub niedomaganie choćby jednego członka z domu, to już przeszkoda w codziennym porządku, ofiarą czasu, zajęcia, to chmura w życiu, troska, zgrzyzota, których w wielu razach uniknąć zupełnie nie można. Częstość jednak przychodzą one w logicznym następstwie naszego postępowania. Wejdźmy w szczegóły, bo właśnie niejedna mat-

ka, niejedna gospodyni, kierując się ogólnie bardzo dobrimi zasadami, błądzi w szczegółach, lekceważy drobiazgi, myli się w drobnostkach i ściele za sobą, mieliznę niebezpieczną, na której w końcu jej okręt rodzinny osiedzie, zamiast popłynąć na szerokie, piękne i pożyteczne przestworza.

Zdrowie dzieci zależy od ich spania, jedzenia, ubrania, ochłodstwa, wypoczynku i pielęgnowania w chorobie. Kto na tych sprawach oszczędza — hazardowną rozpoczyna grę, stawia wszystko — za coś, i w końcu może stracić wszystko. Spanie dzieci jest rzeczą niesłychanej wagi i ze względów zdrowia i dla przyczyn moralnej natury. Pokój, w którym śpią dzieci, powinien być dosyć duży, widny, najstaranniej przewietrzany, sprzątny i często gruntownie czyszczony, żeby dostateczna ilość i jakość powietrza wystarczała dzieciom do oddychania. Tymczasem, przy fatalnym sposobie budowania domów u nas, mieszkania są tak rozpołożone, że wyglądają raczej na lokale dla przyjmowania gości, na jakieś z góry obliczone biura dla rautów, z salonem i jadalnią większych rozmiarów, a dzieciom dostaje się pokój najmniejszy, duszny, od dziecińców, w pobliżu kuchni, dymny przeto i zgorączy, w którym ich śpi za dużo razem, a choćby i dwoje tylko, i jedno, to przecież dziecku dzieje się krzywda, że ma najgorszy kąt w domu, w którym musi żyć, rozwijać się, rosnąć, nabierać siły i wrażeń i wedle tego hodować się lepiej lub gorzej. Niejedna gospodyni odpowie mi na to: przecież nie mogę salonu oddać na dzieciarnię! ani gości wypraszać, żeby dzieciom ślać łóżka w salonie! Gdyby chodziło o moją wprost odpowiedź, brzmiałaby śmiało i otwarcie: a czemużby nie? Dla czegoż to koniecznie najlepszy pokój ma być dla obcych, a nie dla własnych dzieci? obcym można poświęcić pokój mniejszy, mniej higieniczny, a dla siebie dajmy światło, obszar, powietrze. A dla czegożby i od-

wiedzin gości nie unormować tak, żeby niczemu w domu najważniejszemu nie przeszkadzały? Kto ma wielkie apartamenta, to ma na wszystko miejsce, ale w naszej zwyczajnej, średniej mierze, goście nie powinni w niczem stać na drodze dzieciom. Żyć z ludźmi trzeba, bośmy nie ślimaki, wypełniające sobą swe własne skorupki, ale niechże dzieci mogą, jeżeli jest potrzeba, korzystać i z salonu do spania, gdy sypialnia ich jest zaszczipła, a gromadka młodzieży już liczniej-sza. Tym sposobem, wytargowawszy już na noc salon dla jednego lub dwojga starszych dzieci, gdzie je tu położyć, aby nie znosić codzien łóżek, bo to kłopot i nieład? Meble bywają w salonach tak dziwne, że strach na nich usiąść, takie to małe, cienkie, chwiejne. Zamiast tych bambusowych kanapek, tych dziwacznych kozetek, tych bezstyłowych a kosztownych karykaturek sprzętów, jakeimi zastawiamy bawialnię, niechże tam będą ze dwie dobre otomany, mocne, ciemne, wygodne, to i gość odpocznie bez obawy i dziecku się pościeli tak, żeby przecie spać mogło spokojnie. Ale nie! mebelki, karzelki, figliki zostaną, a dla chłopaka dziesięcioletniego zestawia się sześć krzesel wyplatanych, które do siebie nie przystają, kładzie mu się na tem siennik i pościel, no i dobranoc! Dobra to noc, gdy się krzesła rozsuwać zaczęły; dzieciak się kręci, psuje swoje legowisko, budzi, niecierpliwi, poprawia zasypia, znów wpada w niefortunną szczelinę między stółkami, i albo zleci na ziemię, albo zirytowany powędruje z poduszka na owe bambusowe kanapki, których cienkie nogi nie są przeznaczone do piastowania ruchliwego przybysza na taki przytułek noclegowy. Rano dziecko jest kwaśne, bo źle spało, albo też dostaje burę, że śmiało przejsz na drogą kozetkę, którą... na której... z którą obchodzić się trzeba tak a taki t. d. Słowem, niechaj dzieci mają spanie porządne, wygodne, o ile możności niech śpią w łóżczkach, starsze na otomankach, w pokojach nie zaćmio-

nych dymem z papierosów, nie zagarających, nie na hałaśliwych przejściach, bo noc dobra dla dziecka, to podstawa zdrowia. A jednak, jakże się oszczędza na tem spaniu! Jedno nie ma dość dobrego sienniczka, tamto ma złą poduszkę, to nie ma kołderki, tylko jakąś tam chustkę sobie bierze, tamto nie wie gdzie będzie spało, bo tam siedzą goście, a tam grają w karty, a tam krewny się ubiera, a tam znów niemożna, i tuli się biedactwo gdzie może, aż w końcu chroni się do łóżeczka siostry lub brata, i po parę dzieci śpi razem, co jest już zwyczajem wprost karygodnym, bo to i niehygienicznie i ze wszech miar zdrownie. Są też rodzice, którzy biorą mniejsze dzieci do swego łóżka, nie wiedząc, czy nie chcą wiedzieć, że tem szkodzą dziecku wszechstronnie. Ale za to oszczędność jest: nie kupuje się tylu łóżeczek, pościeli, nie ma zachodu ze słaniem, z większem praniem, z drobiazgową usługą i t. d. Pani domu tryumfuje, że coś odłożyła! Niestety, odłożyła na nieco później złe wyglądanie dzieci, brak ich sił, anemie, blednice, podrażnienie nerwowe, jakie bardzo szybko ogarnia dzieci, gdy cierpią bezsenność z jakiegokolwiek bądź powodu. Naturalnie, dziecko trzeba ratować jak już chore, więc oszczędności pójdą na opłatę doktorów, lekarstw, środków ratunkowych i w końcu trzeba będzie spanie dziecka „jakoś urządzić,“ zatem kupić mu łóżeczko i dać wygodę. I nieraz matki mówią: „Ech, co tam takie ceregiele z dziećmiakami, dziecko się wszędzie wyśpi, inne i tego nie mają, a tu przecie kilka pokoi i powietrze jest!“ Naturalnie, że „inne i tego nie mają,“ np. w suterynie u biedaka, który dziękuje Bogu za jeden siennik na całą rodzinę i za szczelinę światła dla wszystkich; ja nie o tych dziś mówię; gdzie jest nędza, tam nie ma oszczędności na jutro, tylko strach do jutra; mówię o tych, którzy mogą robić oszczędności i powinni, ale źle niemi gospodarują.

Ten oto chłopak, który śpi w salonie na krzesłach, ma w szafie u matki paltot za 20 rubli, „bo jak idzie doludzi, to się musi pokazać,“ a dziewczyneczka sześciolatnia, która jak óma mała przysiadła na noc gdzie może i spłoszona szuka miejsca gdzieindziej, jest posiadaczką kapelusza z piórami z magazynu „Madame Marie,“ kapelusza za 7 rubli, w którym jej brzydtko, a który rozsądkowi jej oszczędnej mamy bynajmniej zaszczytu nie przynosi. Przesadzam może? o, nie, na własne to widziałam oczy, z wielkim i niespokojnym smutkiem, bo te dzieci oto, dziś cierpią niewygodę, ale to niedosyć, one się uczą równocześnie braku miary, logiki, zdrowego sensu i kiedyś, główki ich potomków będą znów w dzień porastały w kosztowne piórka, a kręciły się w nocy na niedbałym pościelaniu. Nie ma takiego mieszkania, żeby nie można w niem uczynić wszystkiego, co tylko jest możliwe, aby dzieciom dać miejsce na dobre i zdrowe spanie. Opłaci się to sownie ich zdrowiem, dobrym humorem, apetytem, otwartą głową, a to wszystko daje rodzicom spokój, najkosztowniejszy nabytek w każdym domu. I mniej nawet oświecone matki wiedzą, że dziecko najwięcej rośnie we śnie, że zatem dużo spotrzebuje swej siły, że nurtujące w niem moce ciała i ducha pracują w niem nieświadomie dla jego umysłu, ale potężnie dla organizmu i jeśli ten sen ma być dla niego posiłkiem istotnym, to dziecko powinno usnąć dobrze, przyjemnie, głęboko i spać tak bez przerwy godziny całe. Dla dziecka sen lekki, przerywany, niespokojny, drażniący, jest istną torturą i podkopaniem zdrowia. Dajcie spać waszym dzieciom, dobrze, wszystkim, ile ich jest; łóżeczko dla dziecka—to symbol gniazda rodzinnego, ono w niem najlepiej czuje swoje miejsce w tym domu, własne, przeznaczone i przytulne, i w niem najdotkliwiej odczuje słowa poetki: „Dopóki matkę masz, niemoże ci być źle.“ W literaturach wszystkich narodów powstał osobny rodzaj pieśni, stworzony dla śpiewania dzieciom do snu, a którażby matka mogła nucić dziecku „kołysankę“ przy złem pościelaniu! Kiedyś, i tak te dzieci z łóżeczek wyrosną, uleczą daleko od was, na ciężką pracę, na bezsenne noce, na czwanie ducha, na księżycowe dumania i samotne ciemności; niechże mogą wtedy, gdy sen im z oczu

uleci, ukoić się wspomnieniem z lat dziecinnych i powtórzyć za Słowackim:

„Szczęśliwy kto ma sny i o chwilach prześnio-nych pamięta!

Szczęśna.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Piotr Głmielowski.

Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

(Dalszy ciąg).

VIII.

O krytykach i recenzentach warszawskich. Znowu Dmochowski.

Słynną „Przedmowę“ Mickiewicza wywołały głównie krytyki jego „Sonetów,“ uznane przez „za głupie jedna w drugą.“ Podrażniony drobiazgowymi przyczepkami recenzentów, poeta nie myślał bynajmniej o spokojnem i przedmiotowem zbijaniu zarzutów, lecz postanowił ośmieszyć zarówno chwalców, jak przyganiaczy, dowcipnem strawestowaniem ich sądów. Dokołał tego z wielką werwą i śmiałością, choć niejednego w tej ogólnej chłości pokrzywdził. Nie była to odpowiedź, ale pean zwycięzki nad pokonanymi wrogami romantyzmu.

Nie poprzestał na tem. Sięgając nieco dalej w przeszłość, cały okres rozwoju literatury naszej od początku wieku XIX ozkarzył o bezpłodność i nieuctwo. Oszczędzał trochę poetów, ale dla „retorów“ był nieubłagany. Słowa jego, charakteryzujące działalność epoki Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wzajemne pochwały i wymiany zdań przechodzących z jednej książki do drugiej, przez długi bardzo czas uważano za wyrocznię. Dopiero od jakich lat 30 zaczynamy się otrząsać od tych sądów i wymierzać sprawiedliwość potępionym przez Mickiewicza ryczałtem. Nie możemy dzisiaj utrzymywać, żeby poeta nasz znał dokładnie ten okres pracy piśmienniczej, który tak nielitośnie wyszydził; a ztąd nie możemy przyjmować jego sądów bez odwołania się do lepszych od niego pod tym względem znawców. Z „Przemowy“ jego nie czerpiemy już barw do odmalowania ogółu działalności pisarzy naszych z pierwszych dziesiątków stulecia naszego, ani też do zobrazowania uzdolnień poszczególnych. Pomimo to i dziś jeszcze przyznajemy tej „Przedmowie“ nie tylko doniosłe historyczne znaczenie, jako przełomowemu objawowi w dziejach naszej krytyki, lecz także cenimy ją jako protest przeciwko rutynie, mogący mieć wartość w każdej dobie rozwoju. Mickiewicz całą potęgą swojego geniuszu stanął po stronie „nowatorów,“ niezadowolonych z istniejącego w danej chwili zasobu pojęć estetycznych, lecz zdających się do wzbogacenia tego zasobu świeżemi zdobyczami umysłu ludzkiego, gdziekolwiek ich dokonano. Każdy, kto nie jest wielbicielem martwych stojących wód, co w bagna niebawem zamienić się mogą, każdy, kto ruch i życie ceni więcej aniżeli spokój grobowy, choćby nawet wielce szanowny; każdy kto jest przekonany, że nie w przeszłości, ale w przyszłości mieści się ideał dobra i piękna; będzie wdzięczny naszemu wielkiemu poecie, że jędrnym swem słowem utworował u nas drogę takiemu usposobieniu i takim przekonaniom. „Krzyki retorycznych alarmistów—pisał Mickiewicz—wzmagają się peryodycznie w epoce wielkich odmian literackich. W Niemczech, w pierwszej połowie przeszłego wieku literatura ledwie nie tak jak u nas ubogą była. Gottsched, sławny podówczas gramatyk lipski, wierszopis gładki

bez talentu, retor krótkiego wzroku i ciasnego pojęcia, uważał naśladowniczą szkołę poetów szląskich za klasyczną; wiersze zaś samego Gottscheda miały być właśnie najwyższym utworem klasyczności i narodowości niemieckiej. W duchu jego szkoły, Lessing, Klopstock, Goethe, należeli do nieumiejętnych i zuchwałych nowatorów. Ta walka mniemań utrzymała w pamięci imię Gottscheda, o którego dziełach już nie słyhać. Teatrem podobnych sporów była daleko dawniej Hiszpania, kiedy szkoła włoska wprowadziła do tego kraju nową poezję. Podobnie spory ukończyły się przed oczyma naszymi w Anglii, a dotąd toczą się we Francji. Wróżby więc o bliskim upadku literatury i smaku w Polsce zdają się bezzasadne; przynajmniej nie ze strony romantycznej zagraża niebezpieczeństwo. Dzieje literatury powszechnej przekonywają, że upadek smaku i niedostatek talentów pochodził wszędzie z jednej przyczyny: z zamknięcia się w pewnej liczbie prawideł, myśli i zdań, po których wytrawieniu, w niedostatku nowych pokarmów, głód i śmierć następuje. Tak upadła literatura bizantyńska, dziedziczka najbogatsza pomników Grecyi; bo zarówno odgrodziwszy się od Franków i Arabów, z postępem wieku nowych form przyjąć nie chciała... Powszechna ciemnota pochodziła nie z wprowadzenia obcych nauk, ale z ich pilnego strzeżenia się...

Takie i tym podobne myśli, domagające się wszechstronnego kształcenia się, pogłębiania swej duszy i szukania dróg nowych, nadają przemowie Mickiewicza wiecznotrwałe w dziejach umysłowości naszej i krytycyzmu znaczenie; czynią ją dokumentem krytycznym pierwszorzędnej wartości; uświęcił nim niejako poeta nasz te dodatnie przejawy, jakie w działalności krytycznej Mochnackiego się znajdowały.

Na razie oczywiście nie ta strona interesowała czytelników, lecz to co w przemowie miało cechę chwili bieżącej, t. j. wycieczki przeciw osobistościom w niej obrobionym. Najboleśniej czuł się dotkniętym Franciszek Salezy Dmochowski, który, jak wiemy, nader przychylnie ocenił pierwsze dwa tomiki Poezji Mickiewicza i dopiero w krytyce Sonetów wypowiedział kilka spostrzeżeń ostrzej ujemne strony wytykających. A ponieważ i ojciec jego, tłumacz Iliady, nienajświeźniej się przedstawiał w ogólnym obrazie działalności literatów warszawskich w początkach wieku XIX, syn podjął rękawicę i napisał kilkuarkusową „Odpowiedź na pisma p. Mickiewicza“ (Warszawa, 1829, str. 118). Przedrukował tu naprzód samą przemowę w całości, opatrzył ją przypiskami, prostującemi zdania przez poetę wyrażone; następnie zaś poddał szczegółowemu wyborowi niektóre ogólniejsze poglądy Mickiewicza, a zakończył szkicowym „obrazem dążności literatów polskich od panowania Stanisława Augusta aż do naszych czasów.“ Dmochowski mniemał, iż dostatecznie udowodnił sześć następujących uchybień: 1) Mickiewicz wszędzie niewiernie, a przynajmniej z największą nierozumą, nieprzebaczoną piszącemu, przytacza zarzuty recenzentów swoich; 2) nie znał wcale, jaki duch ożywił uczonych za Stanisława Augusta i tych, którzy po nich nastąpili; 3) bezzasadnie ubliżył Warszawie, uważając ją za gniazdo obskurantyzmu literackiego; 3) nie zgłębił pism Piramowicza i Dmochowskiego ojca, i ich pracach i zasługach jak najniesprawiedliwsze zdanie wynurzył; 5) również z mylnego punktu ocenił działanie późniejszych literatów warszawskich; 6) całą jego przedmowę technicznie zarzucał do najwyższego stopnia posuniętą i tem wyobrażeniem, że on sam jest jedynym w literaturze polskiej pisarzem, którego nikt sądzić i oceniać nie ma prawa...

W szczegółach musimy przyznać słusność Dmochowskiemu, jak to już zresztą z ogólnej mojej oceny wystąpienia Mickiewicza wynika. Winienem atoli sprostować własną omyłkę, popełnioną w książce „Estetyka Mickiewicza,“ gdzie broniąc literatów warszawskich, przypuściłem, że wyrażenie o „Kordonie zdrowia,“ ażeby przypadkiem nauka nie wkradła się z zagranicy, było pomysłem samego poety. Przekonałem się, że tak nie jest. W N 334 „Gazety Pol-

skiej“ z roku 1828, jakiś bezimienny wydrukował rzeczywiście artykuł przeciwko bezwzględny wielbicielom niemieczyzny, a w nim pomieszczył taki ustęp: „Są tacy, co nic nie widzą nad Niemców, co ich szperania, ich uniesienia na sarmacką sprowadzając ziemię, chcą naród, innym przenikniony duchem, zarażać. Niech raczej łańcuch zdrowia rozciągną, niech się bronią przeciw wpływowi obcej literatury; niech rozwinią własną samodzielność i nie dadzą w ręce obce oręża, który o tyle ostry, o ile go się lękają.“ Wprawdzie redakcja „Gazety Polskiej“ zaraz w przypisku się zastrzegła przeciwko takiemu chronieniu się literatury niemieckiej, twierdząc, że od naszej siły moralnej zależy jej użyteczność lub szkodliwość na narodowość naszą i wprawdzie w N 350 pomieszczyła cały artykuł Żukowskiego, poświęcony zbijaniu zdań bezimiennego, dla okazania, że „niemal wszystko, co jest dobrego w dzisiejszym duchowym ukształceniu narodów, Niemcom przyznać należy;“ ale bądź co bądź, Mickiewicz miał podstawę do twierdzenia, że o łańcuchu czy kordonie zdrowia umysłowego drukowano w Warszawie.

Zastrzegłszy to, wyznać musimy, że zarzuty Dmochowskiego w pierwszych pięciu punktach zawarte, były usprawiedliwione; punkt natomiast szósty, przedstawiający Mickiewicza jako zarozumiałca, całkiem się nie zgadzał z rzeczywistym charakterem przemowy. Mickiewicz czuł swoją wyższość nad recenzentami, bo świadom był swojego talentu, ale zarozumiałości dopatrzyć w nim trudno. Spółczesnym mógł się ton przemowy nie podobać, mógł ich nawet razić; ale dla nas dzisiaj, kiedy osobistości w przemowie wzmiankowane, są już błędem jeno wspomnieniem tylko, wydaje się on silnym tylko wyrazem przekonania, bez chęci zapewnienia sobie literackiej nietykalności. Dla nas przemowa ta nie jest „dziwną zagadką,“ jak dla Dmochowskiego. Nie będziemy pytali „dla czego, w jakim celu, jakim względem powodowany, wydał na widok publiczny.“ Dmochowski mniemał, że ona nie przyłoży się do „do postępu i wyjaśnienia teorii szkoły romantycznej.“ My dziś wiemy, że się przyczyniła do ostatecznego zwycięstwa tej teorii i u nas. Dmochowski twierdził, że to pismo Mickiewicza „będzie nazawsze smutną pamiątką jego lekkości, zapomnienia się i zarozumiałości.“ My, chociaż nie podzielamy zdań poszczególnych, w piśmie tem wypowiedzianych, uważamy je w całości jako świetną pamiątkę niepospolitego dowcipu, rozległych poglądów i mocnego przeświadczenia o potrzebie reformy estetyczno-krytycznej.

„Odpowiedź“ Dmochowskiego, z powodu zainteresowania się sporem romantycznym, była czytana i w bardzo krótkim czasie rozkupiona, tak, że autor sporządził w r. 1830 drugie jej wydanie, pomnożone przedrukowaniem z „Biblioteki Polskiej“ swemi artykułami o pierwszych dwu tomikach poezji Mickiewicza i o Sonetach.

Wystąpienie wielkiego poety rozżarzyło zapal polemiczny. Do 1 Grudnia 1829 r. w „Gazecie Polskiej,“ następnie zaś w „Kuryerze Pol skim“ zwolennicy romantyzmu z coraz większą śmiałością i natarczywością dogryzali klasykom, egzaltując się coraz bardziej, pomiatając „prawidłami twórczości, nazywając romantykę „wysoką alchemią poezji, zachwycającą fantasmagorią sztuki“ („Kuryer Pol.“ 1830, N 91), ale głosząc ideę „sztuki dla sztuki,“ bez względu na jakikolwiek bezpośredni „pożytek“ twórczego słowa. Dla poparcia swoich poglądów zaczęto tłumaczyć i drukować dzieła obu Schległów; ukazał się wówczas pierwszy tom „Obrazu literatury starożytnej i nowożytnej“ Fryderyka, a także pierwszy tom „Kursu literatury dramatycznej“ Augusta Wilhelma.

Klasyki mało oddziaływali, po „Odpowiedzi“ Dmochowskiego, z wydawnictw książkowych zaznaczyć można tylko „Myśli dorywcze o romantyczności i romantykach,“ drukowane bezimiennie w Kaliszu 1830 r. Autor był zaciętym nieprzyjacielem nowego kierunku poetycznego i przytaczając dawniejsze słowa Mochackiego, że „rozsądek rozbraja talizman poezji,“ dodaje: „Zaprawdę „Dziady,“ „Zamek Kaniowski,“ „Ma-

rya“ i niektóre tym podobne poemata były zapewne według tej doktryny napisane“ (str. 6.) W innym miejscu nazywa „Dziady“ i „Sonety Krymskie“ — „kłęską nowoczesnego piśmiennictwa polskiego.“

W rozmowach przesadne wyrazy niechęci wzajemnych przybierały, jak to bywa zazwyczaj, jaskrawsze jeszcze zabarwienie; chaos pojęć dochodził punktu kulminacyjnego i musiał dojść do nowego przesilenia. Wyrazem tego przesilenia były rozprawy Brodzińskiego i Mochackiego, ogłoszone w roku 1830.

(Dalszy ciąg nastąpi)

CHWYĆ.

Jarostawa Vrchlickiego *).

Ach, wiem, jak rzadko pieśni motyla
W swych rytmów chwytam nić,
Ich tłum oblata mię tu co chwila,
A każdy woła: Chwyć!

Czy można? Raz się odważę na to,
Na traf się puszczam w ślad,
W mej duszy dotąd wrze ciepłe lato,
Rozkoszny kwitnie kwiat.

Ha, patrzcie, właśnie jeden tu leci.
Nuż za nim! W mig jak strzał
Barwami skrzydeł wśród kwiatów świeci,
Ze mnie się chyba śmiał.

Tam inny! Chwyć na pewno tego,
Więc dalej ze wszech sił!
Me nogi za nim tak szybko biegną,
Na palcach—tylko pył!

Puszczę się raczej za białych zgraja,
Gromada świetna tam,
Na dziewcząt włosy mi uciekają,
A ja cóż z tego mam?

Pst! W tem mnie znowu jeden zachwycą,
Na koniczynie siadł,
Kręci skrzydłami jak tanecznica—
Płonie jak ciemny kwiat...

Ten będzie moim! Próżne starania
Nie czeka też i ten,
W blasku letniego dnia precz ugania,
Mignął się niby sen.

I tak straciłem próżno dzień cały,
Co zwolna bladł i gaśł,
Co to? Motylów rój okazały
W wazonach się cicho pasł...

W ciemną aleję teraz on leci
Co żywo za nim tam!
Chwytałem żwawo, aż w własne sieci
Chwycałem siebie sam.

Chwycałem tylko za plon biegania
— Nie szcędźmy prawdy słów—
Ponure jakies, smutne dumania
Jak zmorę ciężkich snów.

Na rosę trawy jam złożył głowę,
Odrzucił rytmów nić —
Dzień wstaje, roje wznoszą się nowe
Jak w tańcu. Chwyć nas, chwyć!

Przekład z czeskiego
Bronisław Grabowski.

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg.)

Po ostatniej bytności swojej u matki, pan Hipolit nie spodziewał się być proszonym przez nią. Marzył o zbudowaniu domu w Piaskach i przeniesieniu się tam, dom w Górkach zostawiając pani Karolinie. Zdziwił się więc, gdy po powrocie Maryanna poprosiła go do starszej pani. Zawahał się—iść czy nie iść?

Coś go odtrącało od tych progów matczynego mieszkania, zdawało mu się, że w załomach kurytarza nie ukołysały się jeszcze echa po śmiechu wczorajszym.

Poszedł jednak spokojny, zimny, obojętny na wszystko.

Grudowska nie miała zamiaru prosić syna—czuła, że między nim a nią zerwała się już nić ostatnia. W chwili, gdy on może lkał sercem, ona wybuchła niepowstrzymaną radością; gdy odchodził, pogardę rzucając jej pod nogi—ona go pożegnała śmiechem szalonym. Pani Karolina była pewną, że śmierć Matyldy zadała stanowczy cios wszystkim już marzeniom pana Hipolita, a śmiech jej ciężarem głazu u szyi jego zawisnął i nie pozwoli już rozkrzyżować się ramionom. Stała dumna strasznym zwycięstwem, pewna siebie i spełnienia swych zamiarów, gdy nagle wzrok jej padł na list Henryka.

Pobladła.

O tym liście zapomniła zupełnie.

W danej chwili Henryk znajdował się w położeniu bez wyjścia, może nawet nie doniósł o wszystkim, chcąc jej zmartwień oszczędzić, już i tak wiele znaczące są słowa listu o obawie skandalu, o klejnotach Tosi, którychby nie chciał zastawić...

Tak—to byłby skandal!...

Henryk potrzebuje pieniędzy, a żąda sumy ogromnej i prosi o przysłanie jej natychmiast. Może nawet przegrana w kasynie nie całkowicie zapłaconą została... i on—znajduje się pod strażą pilnujących go oczu z ukrycia, by nie umknął jak złodziej.

Hańba!...

A pomóż mu może tylko—Hipolit.

Pani Karolina wiedziała dobrze, że Hipolit tak wielkiej sumy nie ma u siebie, lecz na każde zawołanie mieć ją może. Zieman, czy nie Zieman, każdy posiadacz gotowego grosza panu Hipolitowi nie odmówi pożyczki, na słowo nawet. Wiedział o tem i Henryk, lecz nie chciał pisać do brata, bo żywe słowo matki znaczy więcej niż martwa litera.

A jeśli Hipolit nie zechce teraz uczynić tego?

Zostaje sprzedaż lasów Dziadyszowskich i wzięcie zaliczki. Lecz Henryk pełnomocnictwa nie przysłał—i w tym więc wypadku, słowo tylko Hipolita coś znaczyć może.

Dlaczego Hipolita?... a ona, matka Henryka?... Grudowska?!

Pani Karolina biła się z myślą, gniewna na nerwy, które nad rozsądkiem wczora górę wzięły.

Zrazu miała zamiar przez Maryannę przesłać list synowi, lecz zabójczy niepokój by ją trapił,

*) Ze zbioru „Okna w burzy.“

nie wiedząc nic o postanowieniu Hipolita. Musiała się z nim zobaczyć raz jeszcze—Ziemana zostawiła na ostatek.

Ułożyła się do snu—sen miała ciężki.

Po przebudzeniu się posłała Maryannę do pana, lecz ta Grudowskiego nie zastała. Doniosła tylko swej pani, że wstał ze wschodem słońca, u Sochackich pił kawę, a później wyszedł w pole. Uplywały godziny, Maryanna czatowała na pana Hipolita, ale pan Hipolit nie wracał. Około wpół do drugiej po południu spostrzegła idącego na folwark,—pobiegła więc i poprosiła do starszej pani.

Grudowski w milczeniu przestąpił próg buduaru matki, podaną rękę zaledwie dotknął ustami i usiadł, nie mówiąc słowa.

— Odczuwam twoją przykrość z wczorajszego wypadku,—zaczęła.

Hipolit zaśmiał się głucho.

— Co to ma znaczyć?

— Jestem w wesołym usposobieniu, — odpowiedział.

Grudowska przygryzła wargi, ściągnęła brwi—lecz w rękę miała list Henryka, który łagodząco na nią wpływał.

— Mój Boże, jak my się nigdy nie rozumiemy,—szepnęła.

— Przeciwnie, my się rozumiemy bardzo dobrze,—odpowiedział Hipolit.

— Wątpię... lecz mniejsza o to.

Podala synowi list.

Hipolit przeczytał i ze spokojem oddał list.

— Cóż powiesz? — tłumiąc niepokój spytała Grudowska.

— Nic—

— Henryk jest w położeniu krytycznym,—szepnęła.

— A na cóż grał?

— Wypadek.

— Lekkomysłność!

— Uległ namowom żony.

— Zawsze się rajską powtarza historia.

— Nie czas na morały... Brat twój potrzebuje pieniędzy na zapłacenie hotelowych długów i wyjazd do Paryża.

— Wyszłę mu...

— Aa!...—odetchnęła pani Karolina.

— ...na powrót do kraju,—dokończył Hipolit.

Grudowska drgnęła,—przejął ją chłodem spokojnej odpowiedzi Hipolita.

— Czyż nie możesz uczynić zadość prośbie brata?

— Nie mogę.

Pani Karolina uniosła się:

— Hipolicie! to niegodziwe!

— Tyle już niegodziwości w życiu swem popełniłem, że jedna więcej mnie nie splami,—odpowiedział spokojnie.

Uklonił się i wyszedł.

Pani Karolina upadła na fotel, walcząc z łkaniem, które pierś jej podnosiło. W myśli jej stał Henryk, oczekujący z niecierpliwością na wieści od matki, przedstawiała sobie niepokój syna, widziała tyjące oczu, na niego zwróconych.

Co się tam już stało, co się jeszcze stać może?

Może pomiędzy małżonkami padły już pierwsze słowa niechęci i wymówek? Może—szarpany wstydem z obawy skandalu...

Strzał posłyszana.

— Maryanno!—wrzasnęła na głos cała, otwierając drzwi na kurytarz.

Przerażona krzykiem pani, pokojówka, jak bomba, wpadła.

— Kto to strzelił? — spytała Grudowska.— Czy kto strzelił?...

— To pan Hipolit fuzyę przeczyszcza, — odpowiedziała Maryanna.—Czy pani przestraszyła się? Co pani taka blada?

— Nic—nic. Jestem jakaś zdenerwowana, nieswoja. Muszę się przejechać. Niech zaraz mi konie zaprzęgą...

Maryanna wybiegła, a w przelocie, ocierając się o pana Hipolita, który na wiatr był strzelił, rzuciła impertynenko:

— Co pan wyrabia? Pan panią przestraszył, że aż fe!

Hipolit zacisnął zęby.

— Proszę no tylko nie ocierać się o mnie, a mówić trochę inaczej, jeżeli panna chce dłużej tutaj popasać!...

— Ot, werażenie się! — zawołała i pobiegła dalej z rozkazem pani Karoliny.

Grudowska pojechała do Zwolenia. Jedyńą nadzieją ratunku pozostawał jej Zieman. Nie wątpiła o powodzeniu wyprawy, tylko ją drogo opłacić będzie zmuszona. To nic—tryumf zostanie przy niej: zobaczy Hipolit, że i bez niego obejść się można.

Wizyta pani Karoliny niezmiernie zdziwiła pana Izydora. Coś się ważnego stać musiało, gdy ta pani dumna, niedostępna nie wahała się przekroczyć progów jego mieszkania. Powitał ją jak najniższym ukłonem, zaprowadził zaraz do kanapy, mordował ciąglem przywoływaniem Aleksandra, któremu „jaśnie panie“ powtarzać kazał co chwila, chciał już traktować przybyłą rzodkiewką ze swojej oranżeryi, ale pani Karolina wymówiła się od wszystkiego i przystąpiła odrazu do interesu.

— To, zdaje się, pan nabyłeś lasy Grudowskie?

— Tak, szanowna pani dobrodziko—i wszystko zapłacił.

— Mój syn bawi teraz zagranicą i chwilowo potrzebuje dziesięć tysięcy rubli. Prosi więc pana o tę sumę, jako zaliczkę na lasy dziadyszowskie.

— Na lasy dziadyszowskie?... To un ite lasy chce sprzedać?

— Tak!

— Nu—ja kupię—ja zawsze, ja wszystko kupię—dla czego nie? Ale kto kontrakt podpisze?

— Ja.

— Ma pani pełnopowagę?

Grudowska dech wstrzymała.

— Nie,—odpowiedziała.—Mój syn po powrocie zrobi z panem umowę,—ja na wzięte pieniądze wydam panu rewers.

— A kto na rewersie da poręczenie?

— Poręczenie?... a mój podpis?...—spytała dumnie Grudowska.

— Niech się szanowna pani dobrodziko nie gniewa, ale każdy interes potrzebuje pewności. Pan Henryk ma Grudów i Dziadyszki, pan Hipolit ma Piaski i Górki, a szanowna pani dobrodziko co ma?

Pani Karolina powstała.

— Niech pani siada, tu, na kanapie,—interes nie gniew... Ja dam—dziesięć, piętnaście, dwadzieścia; dla czego ja nie mam dać? Ale na co szanowna pani dobrodziko ma fatygować siebie. Niech pani pana Hipolita przysze—un powie: „panie Zieman, daj“ —i ja dam!

Grudowskiej źle się robiło: pycha jej i duma była złamana.

Wróciła do Górek.

— Co robić? co robić?—powtarzała, trapiąca myślą o synu.

Pan Hipolit dzień cały spędził u Sochackich. Nie wychodził z ogrodu, dokąd też wyniesiono stół i nakryto do obiadu. Milczący był i poważny, rozweselały go czasem dzieci, do których wesoło się uśmiechał. Były dzień cały na powietrzu, używając kąpieli słonecznej; sukienki miały bez rękawków, babcia pozrzucała im majteczki, nawet i pończoszki, świeciły więc białością ciała, które były jędrne i tłusciuchne, a na nóżkach, jakby nitczkami przewiązane. Malutkie stopki chowały się tylko w meszceki lilipucie, lecz i te często zlatywały przy harcach różnych i wywracanych koziołkach.

— Ujek, daj ciuki! — odzywały się do Grudowskiego, i choć pani Sochacka gromiła niby dźwięk za tę poufałość a Sochacki od Tatarów wymyślał, pan Hipolit nie pozwalał babci zbliżyć się do rozbrykanych wnucząt, sam trzewiczki nakładał i łoskotał wąsami w obnażone piętki.

— A—tyrany!—śmiały się Sochacki. A Basieczka powtarzała:

— Kociaki lubel!—i dodawała:

— Jakże to pana dziedzica nie kochać!

Państwo Sochaccy mieli zwyczaj sypiać po obiedzie. Wiedział o tem Grudowski, lecz nie

miał wcale zamiaru opuszczać ogródka i wracać do ścian pustych swojego mieszkania, które w myśli grobem nazywał. Staruszkom nie uchodziło jakoś zostawić samego dziedzica, choć panu Januaremu raz wraz opadały powieki, a Basieczka ziewnęła parę razy. Grudowski wiedział, że trudno mu będzie namówić staruszków do spania, wziął więc oboje pod ręce i rzekł:

— Chodźcie no państwo, a coś ciekawego wam powiem.

Zaprowadził ich do sypialnego pokoju.

— Co to ma być?—spytała Sochacka.

— Cicho—sza—spać!—odezwał się pan Hipolit,—a ja z Holofernesami zostanę.

— Co nie, to nie!—zawołała Basieczka.

— Panie dziedzicu, panie dziedzicu, — śmiał się Sochacki.

Ale Hipolit pocałował staruszkę w rękę, pana Januaremu uściśnął, „Dobranoc!“ powiedzieli i wybiegli, zamykając na klucz drzwi za sobą.

— Ot, co zrobił, patrzaj! — odezwała się zakłopotana Basia.

— A no, to już prześpijmy się,—zrezygnował Sochacki.

Hipolit wrócił do dzieci,

Zastał oboje śpiące na trawie, pod jabłonią.

Objęły się rączynami i usnęły.

Grudowski usiadł przy nich na ziemi i gałązką leszczyny zaczął natrętne owady odpędzać.

— Gdyby to moje były!—myślał.

Zapadł w jakiś sen na jawie, w zadumę, w której dusza nic nie wie o sobie.

Słońce schyliło się ku zachodowi, on bezwiednym ruchem gałązką leszczyny odpędzał kąśliwe komary i muszki, nie wiedząc nic o czynności swojej.

Zbudziło go klaśnięcie w dłoń pani Sochackiej...

— O Jezul pan muchy odpędza...

Staś przez sen szepnął:

— Ujek.

I zasnął. Władek otworzył oczęta i uśmiechał się do pana Hipolita.

— I czem one panu odplacą, czem? — mówił Sochacki.

— A państwo jak się wydobyli? — spytał pan Hipolit.

Staruszkowie zaczęli śmiać się.

— Jak? to niech już Basieczka powie... A—wstydy?

— Przez okno może? — rzekł Grudowski.

— O to, to... Przypomniała sobie latka młode—i bryk! Kiedy tak, to ja nie gorszy, myślę sobie. Skik! ale ona to lepiej zrobiła..

— Babcia kik!—odezwał się Władek.

Stach się rozbudził także i zaraz wygramolił się na pana Hipolita.

Z ciężkim sercem wyszedł od Sochackich Grudowski, ale godzina już była spóźniona. Po dniu upalnym na niebie zbierały się chmury, pierwsza błyskawica oświeciła przestworze i daleki grom zahuczał.

Około północy lunął deszcz.

Pan Hipolit chodził w jadalnym pokoju, gdy z sieni drzwi się otworzyły i weszła matka. Błada była, jakby powstała z łoża choroby, w rękę trzymała zawiniątko. Grudowski zatrzymał się i patrzył—zdawało mu się, że jakieś blade widmo ku niemu się zbliża. Pani Karolina rozwiązała zawinięcie, z którego błysnęły klejnoty.

— Proszę,—szepnęła,—sprzedaj! Ja nie wiem, gdzie—komu... Nie wiem, co to warte, i czy dadzą Henrykowi potrzebną sumę... Ale—on—musi mieć pieniądze!

Wargi jej drżały,—widocznie czyniła przymus, do prosby się zniżając. W przygasłych oczach znać było trwogę niezmierną o los ukochanego dziecka, dla którego nie żałowała krwi z żył swoich.

Hipolit to zrozumiał. Podszedł, klejnoty zawinął napowrót i oddał matce, a biorąc jej rękę i do ust przyciskając, szepnął:

— Bądź spokojna—zrobię wszystko. Ty—choć tamtego kochasz!

— Dziękuję!—rzekła Grudowska.

I wyszła, a za nią jakiś grobowy chłód powiał.

Długo za matką patrzył Hipolit. Czuli, że mu serce lkało żalem niezmiernym, targała rozpacz bezbrzeżna — a jednak?

„Ona umiała kochać!”

(Dalszy ciąg nastąpi)

Ruch kobiecy w Galicyi

przez

Janinę S. Aleksotę.

(Korespondencja ze Lwowa).

Kronika ruchu kobiecego w Galicyi nie ma na razie żadnych wybitniejszych wypadków do zapisanania, ale mimo to są pewne punkta, mające znaczenie może na razie nie tak wielkie, ale rokujące dużo dobrego na przyszłość. Wyliczę je po kolei. Niedawno temu odbywały się u nas wybory. Jak w poprzednim roku, tak i obecnie kobiety, płacące przepisany podatek (wyżej pięciu złotych) wezwane zostały do współudziału w akcji wyborczej. W tym roku objawiły nie tylko wielką ochotę do przystąpienia do wyborów, ale zarazem postanowiły solidarnie się porozumiewać co do list wyborczych, by dawać głosy za takimi kandydatami, którzy wedle opinii odpowiedzą obowiązkowi i godności radnych miasta. Lista wyborcza dźwiga sto nazwisk takich kandydatów, którzy mają być wybrani. Kobiety zarządziły zebranie w lokalu zjednoczonym towarzystwa *Czytelni dla kobiet*, Stowarzyszenia nauczycielek i Towarzystwa szkoły ludowej, w celu narady co do wyboru radnych. Naturalnie, mówiono tam także o zapatrywaniach kandydatów, na kwestyę kobiecą i to również kierowało decyzją głosowania na tego lub owego kandydata. I słusznie zresztą, bo kto ma obowiązki, mieć też winien prawa, a kobiety w Galicyi w znacznej liczbie oddają się zawodom publicznym, czemuż im nie mają przysługiwać pewne prawa, odpowiednie tym obowiązkom? Wielu zaś panów, aczkolwiek nie mogą nic pracy kobiecej zarzucić, są z tak zwanej *zasady* jej przeciwni. (Przypomina mi się tutaj anegdotka o pewnym facecie, który przychodził do biura prawie wtenczas, kiedy inni wychodzili. Zapytali go, czemu tak postępuje? — odpowiedział: *z zasady!*)

Pracują w Galicyi kobiety przeważnie jako nauczycielki wiejskie i miejskie, jako buchalterki, urzędniczki w bankach, towarzystwach zaliczkowych, w urzędach kolejowych, w dyrekcyi skarbu, w urzędach pocztowych i telegraficznych i stacyach telefonicznych. W przemyśle zawodowo jako krawczynie, szwaczki, modniarki. Wszędzie przepełnienie ogromne, z czego okazuje się, iż zawodów zamało na taką wielką ilość rąk kobiecych, sięgających po pracę dającą utrzymanie. Przytem wszędzie kobiety mają płacę niską, a gdzie płaca równa, jak np. w zawodzie nauczycielskim (choć niezupełnie, bo np. kierujący nauczyciel ma o sto złotych więcej niżeli w tych samych warunkach pracująca kierowniczka szkoły); tam kobiety o wiele dłużej muszą czekać na awanse i nie mogą korzystać z niejednego dobrego przywileju, przysługującego nauczycielom.

A właśnie teraz bardzo wszystkich zajmuje u nas sprawa podwyższenia płac nauczycielstwu. Powiemy słów parę o nauczycielkach miejskich, pozostawiając sobie rzecz o nauczycielstwie wiejskiem do osobnej rozprawy. To tylko zaznaczymy, że dola nauczycielki wiejskiej należy do czmy, że dola nauczycielki wiejskiej należy do najopłakawszych pod słońcem. U nas stosunki wiejskie i warunki tamtejsze są dla pracującej w szkole kobiety nieodpowiednie po prostu. Chwytają się u nas tego zajęcia, jako ostatniej deski ratunkowej, gdy w inny sposób na chleb zapracować nie można. Po miastach prowincyi płace nauczycielstwa zawisłe są od liczby ludno-

ści danego miasta. We Lwowie sprawa podwyższenia płac została prawie załatwiona, nie usunięto tylko najdotkliwszego punktu, a mianowicie rozmaitości płac. Utarł się od lat niewielu *usus*, że niektóre szkoły, mające klas siedm, ośm, lub co najnowsze dziewięć, dostają tytuły wydziałowych i w tych placą nauczycielkom znacznie więcej, niż w tak zwanych ludowych, które również po siedm klas mieć mogą. Właściwie tym ostatnim należałoby się płaca wyższa, gdyż mają pracę cięższą ze względu, że przeważnie znajdują się w takich dzielnicach miasta, gdzie dziećmi są uboższe, mniej się uczą, przychodzą z domów niebardzo inteligentnych, gdy w „wydziałowych” szkołach przeważny kontyngens dzieci składa się z zamożniejszych i mających w domu pomoc. Jest to więc połowa pracy dla nauczycielki w szkole, a przytem dziesięć razy tyle moralnego zadowolenia z rezultatów nauki, niż w „niewydziałowych.” Ale pomyślano o tem. Ludzie głębiej myślący a sprawiedliwi podnieśli głos protestu i powiedzieli: „Kobiety same wzięły sobie za hasło: „równa praca, równa płaca!” — po cóż więc robić jakieś różnice, skoro jednakowej od wszystkich wymagamy kwalifikacji i egzaminów? Znieść trzeba różnicę, która niesprawiedliwie i bezzasadnie się wkradła. I głos ten znalazł szeroki poklask i najprawdopodobniej będzie przy regulacji płac uwzględniony, tem bardziej, że nawet finansowo ułatwić może podwyższenie płac.

Nad stosunkami wiejskiego nauczycielstwa naradzał się i sejm i prawdopodobnie nareszcie coś się zrobi dla polepszenia ich oplakanej doli.

Wracając jeszcze do spraw kobiecych, uzupełniamy te uwagi tem, że w ostatnich latach także na polu piśmiennictwa więcej prac u nas spotykamy. Czytelnie, uniwersytety ludowe, powołane niedawno do życia, cieszą się ogromnem poparciem i współudziałem kobiet. Gimnazya żeńskie prosperują i kolacą do ministerjum o należne im subwencje, uniwersytet także kilkadziesiąt liczy słuchaczek, a osobne kursa uniwersyteckie dla kobiet liczą ich przeszło sto w samym Lwowie. Wytrwałość i gorliwość nie zostają bez nagrody.

UŚMIECHY ŻYCIA.

NOWELLA

przez

Aleksandrę Łapińską.

I.

Ludwisia wróciła do domu.

Co rano prowadziła babcię do pobliskiego kościoła, sadowiła ją wygodnie w ławce, najbliższej ołtarza, przed którym się msza miała odprawić, a potem sama biegła z koszyczkiem na targ, kupowała wszystko, co do gospodarstwa potrzebne było i wracała do domu.

Gdy sprzątnęła pokój i kuchenkę, to się zabierała do obiadu. Prosty on był i nie wiele wymagał zachodu, ale Ludwisia tem staranniej go przyrządzała, aby zwyczajne potrawy niezwykle smacznie były; przecież je babcia i Adaś spożyją.

Potem znów biegła po babcię do kościoła. Staruszka tak się do tych codziennych mszy przyzwyczaiła, że i w najgorszą pogodę ich nie opuszczała. A później, kiedy już obie w domu się znalazły, to Ludwisia zasiadała do swojej maszyny i robiła pończochy, a babcia związała jej pasma przędzy z drewnianego parasola na długie walcowate szpulki.

Adaś o pierwszej przychodził na obiad. Co on im zawsze naopowiadał, to rozkosz brała słuchać! No, miał przecie o czem! Siedzą tam sobie wszyscy w Akademii i rzeźbią, a jeden przez drugiego

stara się piękniej, Malcz chodzi koło nich i patrzy; jednemu coś poprawi, drugiego pochwali.. a już najczęściej to Adasia! A oni sobie przy robocie gadają. Co tam się pięknych projektów. natworzy, co arcydzieł wyrzeźbi, podróży naodbywa i sławy zdobędzie, to nie do uwierzenia! Oho, tamtych mogą się projekty nie spełnić, ale Adasine to z pewnością. I teraz Ludwisia znów o tem myśli, choć z całą uwagą żyłuje mięso na klapsy.

Adaś pokazał im wczoraj swój model konkursowy, już prawie wykonany. Ach jaki piękny! Chrystus kłęczy w Ogrójcu, ręce ma splecione, do piersi przyciśnięte i głowę do góry wzniesioną. Takiej bolesnej twarzy ona jak żyje nie widziała!

Kiedy Adaś odsłonił tę płytę białego marmuru, to jej mimowoli łzy z oczu pociekły.

— A widzisz tę palmę, tam wyżej? — pytał brat — czy ona dosyć miękko wygląda? Ja umyślnie takie pierzaste liście zrobiłem, bo to strasznie trudno!

— Ale ten Chrystus, Adasiu, ten Chrystus jak okropnie cierpił — szeptała, przez łzy na twarz Zbawiciela patrząc.

— Co?! dobrze?! — pytał, a oczy tak mu świeciły jak węgle, kiedy płoną.

Babcia to nawet i mówić nie mogła z podziwu, tylko potem, jak do obiadu zasiedli, to ciągle na Adasia patrzyła i tak krzakała, jakby jej coś w gardle zaważało.

To chyba niepodobiestwo, aby mu za ten model stypendyum nie przysądził, tem bardziej, że on przecie taki biedak! Aż strach pomyśleć, że się zima zbliża, a Adaś palta watowego nie ma! Mój ty Boże! Ludwisia od lata o tem paltocie myśli, nawet dwa razy uzbierała już dziesięć rubli na nie, ale się pieniądze rozeszły: pierwsze na marmur do modelu i na opłacenie kwartalnego w Akademii sztuk pięknych, drugie w czasie choroby Adasia, kiedy po influency dostał zapalenia płuc.

Okropny niepokój z tem jego zdrowiem; byle co, zaraz choroba! Ona biega w krótkim zakieciku nieraz podczas najcięższego mrozu, zziębnie tak, że się potem z godzinę przy maszynie trzęsie i zębami dzwoni, ale jej nigdy nic, żeby choć kataru dostała! Cóż, kiedy to tak na świecie, Adasiowi zdrowie potrzebniejsze, to właśnie ona je ma, a nie on.

Słyszała dzisiejszej nocy, jak kaszłał, drzwi z kuchenki do pokoju były otwarte, i najwyraźniej było słychać jego krztuszenie się, musiał widać głowę schować pod koldrę, aby babcii jej nie obudzić, bo miał głos przytłumiony. Wprawdzie dziś rano wypierał się, ale on tak zawsze robi.

Oj, dałaby to Ludwisia pół życia, żeby go tak można wyprawić w lecie do Dębowa! Dopierożby sił i zdrowia nabrał! Ach ten Dębów! czy sta rozkosz!

Bywało, stanie sobie Ludwisia w lesie, a dęby szumią, jakby śpiewy zawodziły i zielonemi konarami kłaniają się słońcu, a rzeczka pluska po kamykach między drzewami, taka wążutka, że rozpędziwszy się dobrze, to ją i przeskoczyć można!

Ogromnie tam było dobrze w tym Dębowie, szczególnie w niedzielę. Po niesporach proboszcz do nich przychodził i z ojcem grał w szachy. Oho, ktoby to poznał wtedy ojca? Rozmarszczało mu się czoło, do bladych policzków krew napływała, a on uśmiechał się do swego kościannego wojska! Ech wtedy, toby go się żaden chłopak nie bał, nie tak jak w szkółce podczas lekcyi!

Ciężka bo też to była praca, tak uczyć uczyć wiejskie dzieci! Ojciec i humor stracił i przygarbił się, że nieraz to się Ludwisi serce na ten widok krajało!

Ale cóż, kiedy ona nic na to poradzić nie mogła! Wycalaowała tylko ręce ojczyne, kwiatów mu nazbierała cały pęk na łące i do pokoju przyniosła, kiedy, bywało, dyktanda dzieci u siebie poprawiał, albo śpiewała mu, kiedy już był wolny od zajęć:

„Tam na błoniu błyszczą kwiecie...”

bo to ojciec najlepiej lubił!

Oj to śpiewanie, śpiewanie! Na samą myśl, to aż Ludwisi serce skacze!

Szczególniej, kiedy pan Antoś Mielnik do nich przyszedł, kiedy sobie oboje usiedli na darniowej ławeczce pod klonem i śpiewać zaczęli, to się zaraz cały świat w muzykę zamieniał! A pan Antoś wyciągał tak cudnie:

„Cztery latka wierniem służył, wierniem służył [gospodarzowi...“

to się zdało, że to ziemia tak śpiewa o służeniu swoim i pokazuje trawki i kwiaty i złociste pola kłosiane i dębowe lasy i posyła z tem śpiewaniem skowronki tam, hen, wysoko, pod samo niebo:

A Ludwisia wtóruje panu Antosowi takim cienkim głosikiem, jak te kropelki w strumyku, kiedy się rozprysną o kamienie i na wodę upadają...

Byłoż to śpiewanie cudne!

A każdy to miał swoją ulubioną piosenkę.

Dla proboszcza śpiewać trzeba było:

„Kiedy ranne wstają zorze...“

O, jak się też to ksiądz wtedy bujał z boku na bok, aż mu się sutanna chwiała, a kiedy skończyli, to zawsze mówił:

— Na chwałę Bożą, dziateczki, na chwałę Bożą!

Babcia to znów prosiła o to:

„Bywaj dziewczę zdrowe...“

i tak się nieraz zasluchala, że jej wszystkie druty z pończochy powypadały.

Adasiowi tylko najtrudniej było dogodzić. Siadał sobie na krześle jak na koniu, o poręcz ręce i brodę oparł i patrzył niewiadomo gdzie, a kiedy, jak się Ludwisi zdawało, śpiewał najpiękniej, to Adaś zrywał się raptem z krzesła, leciał do swojego pokoiku na górkę i dalej-że lepił a lepił różności z tej gliny, której tam miał pełno. Oni już i zapomnieli o śpiewaniu swoim, a tu Adaś w parę dni później pokazuje im taką niby deseczkę glinianą, a na niej powygniatane precudne rzeczy: i ta dziewczyna, o której się babci śpiewało, w gorseczku, z warkoczami do ziemi i różą we włosach i obok niej ułan na koniu, prościutki i taki piękny, niby pan Antoś!

Ach jak ona też lubiła pana Antosia, to trudno pojąć. Zawsze był ładny, ale gdy przyszedł w tem strzeleckim zielonym ubraniu, z fuzyą przez ramię przewieszoną i w kapeluszu z piórkami, to mu się nie można było napatrzeć!

— I co on też tam porabia? — myślała Ludwisia, krzątając się po swojej kuchence. Całe dwa lata jak go nie widziała! Pewnie z rodzicami gospodaruje na dzierżawionym folwarku.

— Jak to tym Mielnikom dobrze na wsi! — pomyślała dziewczynka i mimowoli westchnęła.

Byłoby i im tak dobrze, gdyby nie ten okropny wypadek z ojcem! Zawsze się bała, kiedy ojciec chodził do stawu kapać się, ale go od tego nie było sposobu odwieść. Jak się tylko ocieplilo, zaraz ojciec rozpoczynał to swoje nieszczęsne kąpanie i tak do późnej jesieni nieraz chodził do stawu. Aż raz, widać, kurcz go chwycił i utonął...

A wszystko wtedy utonąło z nim razem: i Dębów, bo go opuścić trzeba było, jak tylko nowy nauczyciel do szkółki zjechał, i to gospodarstwo Ludwisine, z którego słyneła w całej okolicy, i utonąło z nim razem i śpiewanie i pan Antoś i wszystko wesele.

Ludwisia nie wyrzeka, broń Boże! boć przecie babcię ma i Adasia, a jak ich kocha, to tylko Panu Bogu wiadomo; ale nieraz, to jej się tak czegoś markotno w sercu robi, żeby i bez przychyny płakała! Wprawdzie ona się wtedy najbardziej śmieje, aby babcia czego nie spostrzegła i nie posmutniała, ale to już nie takie śmianie, jak bywało w Dębowie... Zawsze jest za co Panu Bogu dziękować, bo z Adasia to chyba naprawdę będzie taki artysta, jak proboszcz zapowiadał.

— A niech pan Anzelm — mówił do ojca — chłopakiem się nie kłopotcie! Cóż, że on do książki nie taki pilny jak Ludwisia, kiedy do czego innego ma zdatność, ba! i jaką! Teraz niech się tu czegobądź przy panu nauczy, a potem do miasta go posłać, niech tam rzeźbi, kiedy do tego lepienia ma taki nieprzparty pociąg!

Ojciec najczęściej ręką machnął i odpowiadał:

— At, lepienie, lepienie! Na dużo mu się zda!

A proboszcz uśmiechał się wtedy do Adasia, wystraszonego temi słowami ojca i mówił:

— A na co to, proszę pana Anzelma, przydało się Kanowie, kiedy lwa z masła ulepił? Co? Proszę, niech pan Anzelm odpowie!

Ojciec nie nie odpowiadał, bo to, podobno, Kanowie ten maślany lew na bardzo dużo się zdał; a proboszcz gładził Adasia po głowie i szeptał:

— No idź, podziękuj ojcu, bo ja wiem, że on tam na naukę tego rzeźbienia coś już dla ciebie odłożył!

Odłożył, bo odłożył, ile mógł, a cóż był winien, że go za ten móżół i pracę w szkółce tak niewiele płacono i że, tak prędko w stawie utonął? Ludwisia widziała, jak to ojciec, niby że mu na zdrowie szkodzi, przestał palić, odkąd Adaś coraz piękniejsze rzeczy lepił, i gazet nie kazał już sobie przysyłać, choć dawniej utrzymywał, żeby bez nich żyć nie umiał! Oho, Ludwisia dużo takich rzeczy widziała!

W kuchence zadzwieczał ścienny zegar, wybiła dziesiąta.

Dziewczynka aż się przelekła, że to już godzina upłynęła, odkąd babcia w kościele. „Całe szczęście, że do obiadu przygotowane już wszystko, ręce sobie tylko umyła, włosy przycesała i brała właśnie za kapelusze, gdy naraz rozległ się dzwonek.

Pobiegła do drzwi, otworzyła i zdumiała na widok pana Antosia Mielnika.

— Mój ty Boże, pan Antoś!! — zawołała radośnie.

— A panna Ludwisia może o mnie zapomniła? — spytał i na powitanie rękę do niej wyciągnął.

— Ale gdzieżby znowu! — odpowiedziała, rumieniąc się i miewając, bo pan Antoś, choć niby ten sam, co przed dwoma laty, ale inny jej się teraz wydał: urósł, zmężniał, wąsiki czerniły mu się na ogorzałej twarzy i oczy patrzyły śmiało. Zawstydzila się nawet, że mu przed chwilą powiedziała: „Pan Antoś;“ on teraz na pana Antoniego wyglądał i to jeszcze na jakiego! Ani porównania nawet z tym, którego w strzeleckim ubraniu pamięta.

— Proszę, niech pan spocznie! Babcia w kościele, a Adaś w Akademii — mówiła, podsuwając mu krzeselko.

— Oho, to dla mnie nie nowina! — odparł wesoło. Ja się pytałem stróża, wiedziałem, że panna Ludwisia sama teraz w domu, i dla tego przyszedłem!

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Siedział na podanem sobie krześle, bębnił palcami w stół, i nie spuszczał z niej wzroku, uśmiechał się ciągle.

— Ja widzę — zaczął po chwili — że choć panna Ludwisia mówiła, że o mnie pamięta, ale w zupełności zapomniła!

— A jakże też to pan Antoni może takie rzeczy mówić? — odparła spuszczać oczy.

— A tak, a tak — upierał się. — Bo gdyby panna Ludwisia dobrze o mnie pamiętała, toby się nie dziwiła, że ja tu w tej porze przyszedłem, kiedy ani babci, ani Adasia niema! To panna Ludwisia zapomniła, co ja mówiłem na wyjeździe?

Ona zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

— Ja pamiętałam... tylko... myślałam, że pan pewnie żartował...

Oburzył się na jej słowa.

— A przecież to byłby grzech tak żartować! Ja wtedy mówiłem, że jakbym się miał żenić, to się najpierw panny Ludwisi zapytam, czy chce zostać moją żoną, a dopiero jakby nie chciała, tobym gdzieindziej poszukał...

Serce Ludwisi mocno zabiło w piersiach, a pan Antoś po chwilowej przerwie znów się odezwał:

— Mnie już teraz pora się żenić, rodzice na gwałt chcą synowej, tem bardziej, że nam się trafiło wziąć bardzo dobrą dzierżawę w bliskości Dębowa. Pamięta panna Ludwisia ten folwark Jasinek?

— Pamiętam, pamiętam, zaraz koło zagajnika!

— A tak!

— To państwo Mielnikowie wyprowadzą się z Dębowa? — zapytała zdziwiona.

— Nie, rodzice zostaną tam gdzie dawniej, tylko ja będę mieszkał w Jasinku... z żoną. A że tam gospodarstwo duże i praca będzie z wiosną pilna, więc rodzice chcą, żebym się zaraz po Nowym Roku ożenił, a na wiosnę do tegiej roboty zabrał!

To powiedziawszy, pan Antoś wstał z krzesła i zbliżył się do stojącej przy stole dziewczynki.

— Moja panno Ludwisiu — zapytał, za rękę ją biorąc — i jakże to będzie? Co? pojedzie pani ze mną do Jasinka?

Ludwisia pochylała głowę i westchnęła.

— Ja pamiętam — mówił dalej młody pan Mielnik — że pani to mnie dawniej lubiła...

— O, ja ciągle jednakowo, ciągle jednakowo! — zawołała żywo, podnosząc ku niemu niebieskie oczy.

— Panna Ludwisia to bardzo wyładniała przez te dwa lata — zauważył. — Ja się nawet nie spodziewałem.

Ona znów się zarumieniła i dodała ciszej:

— Pan się też bardzo zmienił!

— A tak, mnie to wszyscy mówią. To też myślałem sobie: „Jak się pokażesz w takiej odmianie pannie Ludwisi, to może tobą nie wzgardzi!“

— A gdzie jaby też gardzić mogła panem Antonim, mój panie Antoni! Tylko... że to...

— Że co?

— Że ja... żadną miarą... do Jasinka jechać nie mogę... — odpowiedziała z wysiłkiem.

— A toż dla czego?

— Bo... bo tu bezemnie byłoby niesporo...

Odetchnęła głęboko i, jakby obawiając się, aby jej nie przerwał, zaczęła mówić szybko:

— Babcia, pan wie, taka stara, trzeba ją doglądać jak dziecko! A Adaś, pan go przecie zna, chorowity, uczy się dopiero. Gdyby on był rzeźbiarzem już i sławnym, to co innego... ale tak... on jeszcze nic nie zarabia. I ta emeryturka babci, to ledwie na mieszkanie starczy...

— A to im będzie lżej, jak jedna osoba ubędzie — podjął pan Antoś.

Ludwisia roześmiała się mimowoli.

— Albo to maszyna sama będzie robiła pończochy? — spytała.

— Jaka maszyna?

— A o ta! — wskazała Ludwisia.

— To pani na niej robi pończochy i sprzedaje?

— A tak, do sklepu. To nie taki znów wielki zarobek, ale przysiedziawszy cały dzień, kiedy się ma i wprawę, to można blisko półtora rubla zarobić!

Niewiadomo, czy to tak na widok maszyny, czy z czego innego, ale oczy pana Mielnika jasniej zaświeciły; znów wziął rękę Ludwisi i powiedział serdecznie:

— Przecież myśmy sobie tak dawniej śpiewali razem! Pamięta pani?

— Oj pamiętam, pamiętam...

— I pani mi tak pozwoli z niczem wrócić do Dębowa?

Ludwisi stanęły łzy w oczach.

— I cóż ja winna, mój panie Antosiu, cóż ja winna?

— Ale on, nie zwracając uwagi na jej szepcące, powiedział:

— Matka to mi mówiła, kiedyś się już do drogi szykowałam: „Jak się Ludwisia zgodzi, to choć grosza za nią nie weźmiesz, ale Panu Bogu dziękuj!“ Oj, dziękowałbym ja, dziękował całe życie! No co? Bo może pani tylko tak się przekomarza? — nalegał, coraz silniej rękę dziewczyny ścisnął.

Jej nagłe usta trząść się poczęły i na twarz wystąpiły wypieki.

— Pan przecie powinien zrozumieć — zaszeptowała — że ja nie mogę, nie mogę... gdzieś takie sieroty porzucać! Panby przecież swoich też nie odstąpił...

On zamyślił się, a potem rzekł:

— Z babcią to tam najmniejsza; przy nas mogłaby mieszkać i jeszcze w niejednym dopomódz...

— Tak, ale Adaś! Za niego jeszcze płacić trzeba, a i to stypendyum bardzo wątpliwe...

W tej chwili, niewiadomo z kąd, przypomniły

się panu Mielnikowi słowa ojca: „Na kark ci wszyscy spadną, i taki będzie koniec!”

Puścił więc rękę Ludwisi i westchnął.

— Ach jak mi pani szkoda...

Dziewczynce ścisnęło się serce na te słowa tem bardziej, że pan Antos nagle posmutniał; więc się uśmiechnęła przez łzy i rzekła, aby go rozweselić:

— Przecież to dużo dobrych dziewczyn na świecie!

— Ba, ja wiem. Nawet jedną, to mi już ojciec upatrzył, w razie, jakby panna Ludwisia nie chciała!

— Upatrzył...—powtórzyła dziewczynka.

— Tak, mnie się nawet zdaje, że ją pani widziała raz w Dębowie, siostrzenica wikarego z Łrasnopola!

Potrząsnęła głową.

— Nie, nie widziałam.

— Ona bogata i ma już całą wyprawę od Bóg wie kiedy przygotowaną!

— A... a... lubi też ona pana Antosia bardzo?—drżącym trochę głosem spytała Ludwisia.

— O, śmieją się z niej wszyscy i mówią, że się we mnie kocha!—butnie głowę do góry podnosząc, odpowiedział chłopak.

Ludwisia milczała, tylko róg czerwonego fartuszka nawijała sobie na palec i głowę niżej opuściła.

— A imię, to jakie ma?—spytała po chwili.

— Emilka.

— A ładna?

— O ładna, oczy to ma takie, jak habry!

— Jak habry...—powtórzyła.

— I taka wesoła, tak się śmieje cały dzień!

— A wie też ona, jak koło gospodarstwa chodzi?—podnosząc głowę, żywo spytała.

— O, taka gospodyni! wie!

— Taka gospodyni... wie... — znów jak echo powtórzyła dziewczynka i sama nie wiedziała, czemu jej tak usta drżą i tak jej się ogromnie na płacz zbiera.

— To ona pewnie i śpiewać umie?—zapytała jeszcze, choć czuła, że jeśli pan Antos i na to pytanie odpowie twierdząco, to ona nie znajdzie już sił do wstrzymania łez, co jej się do oczu cisnęło...

— Ale pan Mielnik zaprzeczył.

— Nie, śpiewać nie umie, co weźmie, to zawsze fałszywie!

— Zawsze fałszywie!! nie umie śpiewać!!—ucieszyła się Ludwisia.

— Ech, bo to nie było śpiewania jak z panią!

— O tak! A pamięta pan: „W gajku zielonym dziewczę rwie jagody?”

A pan Antos zawtórował na to dzwięcznym głosem: „Na koniku wronym jedzie panicz młody,“ ale wnet piosenkę urwał, bo spostrzegł, że Ludwisia nagle twarz ukryła w dłoniach i tak szybko oddycha, jakby w płaczu. Na ten widok sposepniał i zapatrzył się w okno. Przez chwilę widać było namysł na jego twarzy, jakby wahał się jakiegoś, już, już usta otwierał, ale znów mu stanęło w myślach: „Na kark ci wszyscy spadną i taki będzie koniec.“

A Ludwisia tymczasem ręce od twarzy odjęła, zaplakane oczy fartuszkiem otarła i uśmiechając się się smutno, rzekła:

— Niech tam pan Antos szczęśliwy będzie z tą Emilką, ja z całego serca życzę...

— Dziękuję, chociaż... ech Boże!... I pan Mielnik nie dokończył, tylko po kapeluszu na stole leżącym sięgnął.

— A ja to nawet nie zapytałam się, czy mama i ojciec zdrowi, i co tam w Dębowie słychać?—zagadnęła z pośpiechem dziewczynka.

— Nic nowego panno Ludwisiu, rodzice zdrowi, tylko nam proboszcz często nie domaga.

— O! o! i cóż mu jest?

— Niby nic, ale ciągle narzeka, że musi brak!

— Niechże tam pan wszystkich pozdrowi ode mnie z serca, bardzo proszę..

I znowu oczy jej się od łez zaszklily.

— Dziękuję, tam wszyscy też kazali pozdrowić...

Wziął jej dłoń i uściśnął na pożegnanie, Ludwisia otworzyła mu drzwi, a on, już na progu

stojąc, jeszcze raz do niej się zwrócił i w rękę ją pocałował.

— Szczęść Boże, i panu i Emilce, szczęść Boże...—zaszeptala.

Pan Antos nie już nie odpowiedział, westchnął tylko i zbiegł ze schodów.

(Dokończenie nastąpi).

Z dziejów „Złotego Cielca.“

I. Sylwetki miliarderów amerykańskich.

W obec zwiększającego się stale zaludnienia kuli ziemskiej i rosnących ustawicznie potrzeb i wymagań ludzkości, wytwarzają się stosunki niezmiernie skomplikowane w tej różnorodnej maszynie, jaką jest społeczeństwo nowożytne. Rozliczne kółka i kółeczka, dźwignie i sprężynki pędzące z niesłychaną szybkością w ruchu nieustannym zahaczają się i zaczepiają nawzajem, a wiele czasu minie jeszcze nim się ta skomplikowana machinaria ułoży do harmonijnie, bez tego zgrzytu i szarpania, które nam rozdziera nerwy, a może i serca. Ciekawą jest rzeczą uchylić tu i ówdzie zasłony, by się przypatrzyć niektórym cząsteczkom owej społecznej maszyny, która w swym obrocie i was za sobą zahacza i porywa. Dziś, na przykład, spróbujmy rzucić okiem choćby z daleka w... świat miliarderów i nie dając się złudzić migotliwym jego blaskiem, poszukajmy pierwiastków tej „fortuny“, do której wyciągają ręce tysiące i tysiące zgłodniałych lub tylko ambitnych ludzi. A że ten świat najokazalej przedstawić się nam może w owej, zawsze jeszcze nieco bajecznej Ameryce, tam szukać będziemy początku olbrzymich fortun, o jakich stara Europa zaledwie pojęcie sobie utworzyć zdoła.

To pewna, że każdy ze słynnych amerykańskich miliarderów (a jest ich kilku zaledwie), prowadzi w rękę swym potęgę, w obec której błędna czyni najdespotyczniejszych samowładców starożytności. Narzędziem zaś tej potęgi wyzyskanej na korzyść jednostki jest obecnie sprzymierzenie—syndykat, tak zwany „trust“, który pod skromnym i na pozór ułomnym budzącym mianem (trust—zaufanie, nadzieja) kryje się jak potwór sturamienny. Nie się oprzeć nie może potędze takiego sprzymierzenia, które, jak bystra rzeka pędzi; porywając wszystko, co na swej drodze spotka, gniołocząc i miażdżąc wszelką zapórę głucha na jęk zwyciężonych a wzbierająca coraz gwałtowniejszym prądem. Potwór ten wytworzony z warunków ekonomicznych nowożytnego społeczeństwa a wzrastający z siłą nieledwie żywiołową, zachwieje się i otrząśnie wte dy chyba, gdy spotkawszy się z innym, podobnym sobie olbrzymem, chwytą się z nim za bary i usiłuje przemódz wroga—współzawodnika. A wśród tej walki olbrzymów lecają jak drzazgi tysiące zgniecionych i rozszczepionych ciał ludzkich—to robotnicy i drobni przemysłowcy zdeptani przez wielkoludów.

Potwór—syndykat jest to zмова kilku lub kilkunastu kapitalistów, w celu zmonopolizowania jakiegokolwiek gałęzi handlu lub przemysłu i zagarnięcia na swą korzyść wysiłków i pracy tysięcy drobnych producentów i pracowników. Idzie tu nietylko o produkta, ale o środki produkcji, które wielcy przedsiębiorcy chcą trzymać w swoich, wyłącznie, rękach. Nic ich nie wstrzyma na drodze do tego raz postawionego celu: ani krzywdy tych wtrąconych w otchłań nędzy drobnych pracowników, ani uczuć sprawiedliwości, której olbrzymi zdają się wcale nie uznawać, ani sumienie wykreślone zupełnie z ich rachunku, ani prawo, bo i to się ugina pod wszechwładną siłą—miliona.

Ale najlepiej będzie wyjaśnić na żyjących i zdaleka błyszczących przykładach te potęgę—Złotego Cielca.

Król nafty, John Rockefeller rozporządzający bajeczną fortuną 1,500 milionów—wyraźnie jeden miliard i pięćset milionów. W r. 1855 Rockefeller posiadał 5,000 dolarów; w 1870—50 tysięcy; w 1875 już milion, w 1885—50 milionów; w 1890 sto milionów. Kilkakrotnie stawał przed sądem za sprawki podpadające pod kodeks karny, zawsze jednak wychodził cało a syndykat jego, rozwiązany sądownym wyrokiem zlikwidowany z ogromnym dlań zyskiem, odradzał się niebawem tylko pod zmienioną nazwą. Niedalek jak w Październiku zeszłego roku, król nafty pozwany przed trybunały w Ohio, bronił się po swojemu, a w Marcu bieżącego roku ofiarował drobny upominek—dwa miliony adwokatowi generalnemu (Monnett) za pomyślnie pokierowanie sprawą. Adwokat nie przyjął i w dziennikach ogłosił uczynioną sobie propozycję, ale zapewne znajdzie się inny, mniej skrupulatny—a fortuna pana Rockefellera potoczy się dalej jak alpejska lawina wzrastająca za każdym obrotem.

Razu pewnego, wyszedłszy z sali sądowej, spotyka się król naftowy z człowiekiem już posiwiiałym ale wyniosłej postawy i budowy atletycznej prawie.

— Jak się masz, Jerzy? Czy ci nie żal czasami żeś mej rady nie usłuchał?

— Zapewne, bo mię zrujnowałeś siłą swych pieniędzy i swej nieuczciwości...

A milioner słucha i zaprzeczycie nie może i przyjmuje ten policzek moralny w obec wszystkich otaczających.

Rzecz się tak miała: w roku 1876 Jerzy Riec, zdolny i zasłużony inżynier założył w Stanie Wirginii rafineria nafty przerabiającą rocznie około 100,000 baryłek oleju skalnego („The Ohio Works“). Pozazdrościł mu tego powodzenia John Rockefeller, stojący na czele naftowego syndykatu („Standard Oil Company“) i rozpoczął kampanię obniżając dla swych odbiorców cenę nafty o 15% w stosunku do cen utrzymywanych przez rafineria Rice'a. Cel ten osiągnął za pomocą jakiegoś tajemniczego układu z zarządzeniem dróg żelaznych, który dlań zniżył koszt transportu, a zastraszywszy, jak mu się zdawało, rywala, zaproponował mu odstąpienie rafinerii na korzyść kompanii.

Riec bronił się całą siłą—szukał sprawiedliwości w sądach i cóż się okazało? Oto że spółka naftowa i kompania dróg żelaznych były ściśle z sobą połączone, a prezes jednej, stał też na czele drugiej; administratorowie tu i tam byli ci sami. Straty jednej spółki nagradzały się korzyściami drugiej, zwłaszcza, że kompania miała w swem zawiadywaniu jedną piątą wszystkich dróg żelaznych w St. Zjednoczonych Ameryki.

Podczas gdy się ciągnął proces, syndykat nie tracąc chwili urządził własne sklepy po miastach i zniżając ceny nafty rujnował wszystkich rafinatorów, oraz drobnych sprzedawców, by zagarnąć handel w swoje ręce, a raz zabiwszy przeciwników, nakładał dowolne ceny na zmonopolizowany przez siebie towar. Zapadł wreszcie wyrok sądu skazujący na rozwiązanie zarówno spółkę naftową jak i kolejową, ale przekupione organa wykonawcze zwlekały wykonanie dekretu. W 1892 r. dopiero wyszedł dekret przynaglający i pan Rockefeller poddał się—pozornie; w rzeczy samej zmieniono tylko nazwy i tytuły zarówno spółki jak i akcyi, a rezultatem tego były olbrzymie zyski, które wpłynęły do kieszeni szefa. Takim był koniec ostatniego z procesów króla nafty, a każdy z nich powinienby według litery prawa ściągnąć grzywny i, w razie recydywy, dwuletnie więzienie dla oskarżonego. Zdaje się, że całe życie Rockefellera było szeregami recydyw; mimo to wychodził z sądu dumnie, z podniesionem czołem i tylko przemysliwał, jak obracać nadal swemi piętnastu setkami milionów. A w fabrykach jego pracuje około 25 tysięcy robotników; 200 statków rozwozi jego towar, a 70 tysięcy wagonów bieży po kolejach żelaznych na jego skinienie. Któryż z nababów Wschodu ośmieliłby się zmierzyć z amerykańskim potentatem?...

To też na usługi jego są koleje i statki w całym kraju nieledwie, rozkazów jego słuchają spółki i zarządy rozmaitych przedsiębiorstw ku-

pięnie jego złotem lub steroryzowane groźbą naftowego króla; na jego skinienie rozwiązują się stowarzyszenia, zamykają fabryki jemu niedogodne; on za dowolnie przez siebie ustanowioną cenę zakupuje huty i kopalnie, on ma prawo życia i śmierci nad tysiącami rodzin, które w jednej chwili może chleba pozbawić.

A jednak ta niezmierna potęga nie daje zadowolenia, bo oto król naftowy uczył się znużonym i smutnym, zapragnął spocząć w tej gonitwie za milionami i... szuka zastępcy, pełnomocnika zdolnego, któremu przyrzeka wynagrodzenie roczne w kwocie... 5 mil. dolarów! Człowiek ten upragniony oprócz rozlicznych wiadomości, energii, rzutkości, obznajomienia ze sprawami giełdowymi i t. d. i t. p. musi posiadać uczciwość ale względną, ma się rozumieć i... nie mieć ani cienia skrupułów. To znaczy, że dla pełnomocnika pana Rockefeller niczem jest zwalić dziesięć przedsiębiorstw dających chleb tysiącom ludzi, niczem ściągnąć na siebie nienawiść tłumów całych pokrzywdzonych, niczem pogarda ogółu, byle interes szedł. Niech spadają zapłaty robotnicze, niech drożeje towar (nie bojący się już konkurencji po zduszeniu współzawodników), niech giną słabi albo wrodzy—byle rosły miliony pryncypała. Takiego szuka plenipotent król naftowy—dotąd go jednak nie znalazł i sam czuwać musi nad ogromem swej fortuny. To prawda, że bez żadnych obrotów nawet, zasnawszy spokojnie, budzi się corana bogatszy o... 220,000 franków. Oprócz innych przynależności, 38,000 mil drogi żelaznej jest pod jego zawiadywaniem, a gdyby corana idąc Piątą Aleją z domu do biura swego dał jednego dolara każdemu człowiekowi, którego napotka na tej rojnej i gwarnej ulicy, jeszczeby nie zużytkował piątej części dochodu, który mu narosł przez noc uprzednią. A jednak król naftowy czuje się znużonym i szuka zastępcy.

Taki Rockefeller uważany być może za typ amerykańskiego miliardera; niewiele się różni od niego co do usposobienia i środków służących do zdobycia złotego runa inni potentaci, jak Vanderbilt i Jay Gould, królowie kolei żelaznych, Havemeyer król cukru, A. Carnegie—stali, Robert Knight—bawełny, Clark—miedzi, Leiter król zboża i t. p. Każdy z nich prawie, wznosił się za pomocą jakiegoś stowarzyszenia lub jednostki, odrzucał później bez skrupułu narzedzia swej wielkości, potem dusił współzawodników i dalej w gonitwę bez końca, byle bliżej do złotego cielca. Co dziwniejsza, że mało który z tych ludzi, chociaż sam doznał w młodości niedostatku albo nawet nędzy, zechciał później odczuć i ulżyć nędzy innych; mało który stara się złągodzić ciężką dolę robotników.

Jednym z najokrutniejszych, prawdziwym tyranem klasy robotniczej jest Robert Knight, król bawełny, a sam od ósmego roku życia pracował po 14 godzin dziennie w przędzalni. Wzięty później do biura, zwrócił tak dalece uwagę pryncypała pracowitością swą i bezwzględnością z jaką traktował podwładnych, że go przypuszczono do spółki w przedsiębiorstwie i to na kredyt. Kończąc lat dwadzieścia i sześć, Knight potrafił usunąć swego dawnego chlebobawcę, a na jego miejsce przyjął do spółki brata swego. Dziś Robert Knight ma siedemdziesiąt trzy lata, posiada piętnaście wsi, dwadzieścia jeden fabryk i rozporządza 30,000 ludzi, których wyzyskuje na wszelkie sposoby. Książd, doktor, nauczyciel, wszyscy są na żoździe miliardera i uginają się za każdym jego skinieniem, bo inaczej biada im! pójda precz, a na ich miejsce znajdują się inni. Czasami w tej zacieklej walce o miliony spotyka

się zabawne epizody, np. starcie dwóch potentatów kolejowych Vanderblidta i Goulda. Zrazu żyli w zgodzie, szanując nawzajem potęgę swoją, ale przy jakiejś sposobności (szło podobno o piękną baletnicę) wybuchła niezgoda i rozpoczęły się kroki zaczepne. Gould rozporządzał linią kolejową New-York Erie; do Vanderbildta należała New York Central; obie zaś służyły do transportowania całemi wagonami bydła z Kanady, po cenie 125 franków od każdego wozu. Otóż Vanderbildt zniżył taryfę na 100 fr., Gould na 75. W tydzień Vanderbildt naznacza 50 fr. od wagonu, przeciwnik daje taniej jeszcze, i tak coraz dalej; wreszcie Vanderbildt zwyciężył, oddając wagon za 5 franków i tracąc, ma się rozumieć tysiące na każdym transporcie. Linia Goulda nie już nie przewoziła, ale szef cicho siedział inie wołał pardon. Cóż się okazuje? Oto zamiast zniżyć bez końca taryfy przewozowe, Gould zakupywał bydło masami w Kanadzie i przewoził takowe po linii swego przeciwnika, bogacąc się jego stratami. I Vanderbildt ukorzył się przed sprytem wroga swego!

Najmniej dzikości w pogoni za milionem okazuje może król stali, Andrew Carnegie, zrodzony co prawda w starej Europie, więc nie Amerykanin z krwi i kości. Przybył z ubogą rodziną do Alleghany i w 13 roku życia został palaczem w przędzalni. Zdobywszy, niezbyt czystymi rękami zapewne, swoje miliardy, rzuca z nich hojne okruczki na cele filantropijne i naukowe. Itak: dał 5 milionów na bibliotekę w Pittsburgu i przyrzekł jeszcze 20 milionów miastu temu, gdzie zrobił majątek; do rodzinnej Szkocji wysłał półtrzecia miliona. Przytem miewa odczyty religijne i polityczne, pisze książki i... dba cokolwiek o swych robotników. Cyfra wypłat w jego fabrykach wynosi z górą 8 milionów miesięcznie.

Dla rozmaitości król zboża Joseph Leiter pochodzi z rodziny milionerów, co mu nie przeszkodziło utworzyć w 1897 roku syndykat zbożowy i rozszerzywszy działania swe aż na Europę, zyskał w ciągu czternastu miesięcy 25 milionów franków na swoją część. Prawda, że niebawem i inne, zręczniejsze jeszcze stowarzyszenie podkopało spółkę Leitera i zrujnowało go do szczętu, ale po dwóch miesiącach wypłynął znowu i założył tym razem spółkę mleczną. Zniknęli już drobni dzierżawcy z okolic New Yorku, upadli więksi dostawcy, a zdetronizowany król zboża w roku bieżącym zostanie zapewne królem mleka!...

M. Świdarska.

TOWARZYSTWO

Kolonii Letnich

w Warszawie.

Biurowo Towarzystwa ulica Hortensya Nr 1.

Osmnasty rok z rzędu wypada nam odwołać się do ofiarności publicznej, w celu zapewnienia dzieciom najuboższej ludności Warszawy w ciągu lata r. b. dobrodziejstw świeżego powietrza i zdrowego posiłku.

Zwiększając corocznie liczbę dzieci wysyłanych na wieś staraniem Kolonii Letnich, w roku ubiegłym dosięgnęliśmy pokaźnej cyfry 2222;

w stosunku do liczby ludności i warunków jebytu jest to zaledwie część, która nie czyni zadość potrzebie.

Towarzystwo nasze z całą wiarą odwołuje się do naszego społeczeństwa, wiedząc dobrze, jak chętnie śpieszy ono zawsze z pomocą potrzebującym.

Kolonie letnie dotychczas istniały i rozwijały się kosztem zbieranych ofiar, i w tym roku przeto przystępujemy do roboty z niezłomną nadzieją, że oczekiwania ubogich rodziców, nie mogących własnymi środkami ratować swych dzieci, zawiędzone nie będą, a liczba wysyłanych na wieś przewyższy dotychczasową.

W celu zebrania potrzebnego funduszu odwołujemy się do JW. Pani z uprzejmą prośbą przyczynienie się ofiarą do dzieła, którem wnoszą się zdrowie i pociechę pod dach naszych uboższych braci.

Ofiary składać prosimy w biurze Towarzystwa Kolonii Letnich (Hortensya, 1), oraz w redakcyach pism.

Dr. Ciechowski Andrzej, Czajewicz Aleksander, Godlewski Stefan, Higersberger Wanda, Dr. Kosmowski Wiktoryn, Konic Henryk, Dr. Markiewicz Stanisław, Dr. Natanson Antoni, Pawińska Jadwiga, Rotwand Stanisław, Szlenker Jan, Dr. Tomaszewicz-Dobrska Anna, Ks. Woroniecki Mieczysław, Zakrzewski Adam.

Prezes Towarzystwa St. Markiewicz.

Komitet Towarzystwa

Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem

Postanowiwszy, z zezwolenia sukcesorów s. p. Juliusza Kossaka, artysty malarza, urządzić wystawę dzieł tego mistrza w lokalu Towarzystwa i pragnąc, ażeby wystawa ta była najobfitszą w cenne prace zmarłego, a tem samem dała, o ile można, dokładne wyobrażenie o jego artystycznej działalności, zwracał się do posiadaczy dzieł s. p. Kossaka, z prośbą o łaskawe udzielenie tychże dzieł na rzeczoną wystawę. Obecnie, mając zapewniony znaczny udział grona wielbicieli talentu s. p. Juliusza Kossaka, Komitet postanowił urządzić wystawę na dzień 1 Czerwca r. b. i jednocześnie odniósł się listownie do osób, które współdziałając przyjąć w niej obiecały, o nadesłanie obrazów w połowie Maja r. b. Nadmieniam się przytem, że dochód, jaki z tejże wystawy osiągnięty będzie, stanowić ma fundusz na wsparcia stypendyalne dla artysty, kształcącego się w kierunku malarstwa, jakiemu przeważnie oddawał się s. p. Juliusz Kossak.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuś 4 powieści, p. t. *Dwóch ludzi*, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S.

Treść: Kosztowne oszczędności, przez Szczęsną.—Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w wieku XIX-ym. VII. — Chwyć, przekład Bronisława Grabowskiego.—Kazimierz Głiński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg). — Ruch kobiecy w Galicyi, przez J. Aleksotę. — Uśmiechy życia. Nowella, przez Aleksandrę Lapińską.—Z dziejów „Złotego cielca.“ I. Sylwetki miliardarów amerykańskich, p. M. S.

Dodatek obejmuje: *Dwóch ludzi*, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S. arkuś 4-ty.—Przegląd mód. 22 wzorów i robót z opisem, Sekreta gospodarskie.—Dyspozyca obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg. Дозволено Цензурою.—Варшава, 28 Апрелья 1899 г.

Ubranie wizytowe jedwabne z gipiurwym stanikiem.

Rycina Nr 1.

Nader strojne przybranie jasno-perłowej, jedwabnej tualety, stanowi stanik z ponsowego taffetas, pokryty kosztowną gipiurą, oraz odpowiednie naszytce spódnicy. W górze wysokiej, lekko rzucającej się falbany, naszytce z gipiury, podłożone ponsowem taffetas, brzegi zakończone ma czarną aksamitką. Gipiura na staniku przzerwana jest rodzajem szerokich szelek z materiału, naszytych w kratę czarną aksamitką. Czarna aksamitka zastępuje pasek. Rękawy zupełnie gładkie w ząb wykrajane, nisko schodzą na rękę.

Ubranie dla chłopca od 12—13 lat.

Rycina Nr 2. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 70—78).

Spodenki i kurtka z granatowego szewiotu. Kamizelka i duży wykładany kołnierz z białej piki. Kamizelka, zapięta na dwa rzędy drobnych złożonych guziczków, nieco większe, naszyte są na przodach kurtki. Kołnierz trzy razy naszyty granatowym sutaszem. Półkoszulek biały, płócienny, z kołnierzykiem stojącym, podwianym krawatką.

Sukienka dla dziewczynki od 13—14 lat.

Rycina Nr 3.

Gładka spódniczka z batystu białego w niebieską kratę (może też być użyty wełniany muslin), przytrzymana jest w stanie atlasowym, niebieskim paskiem. Marszczona bluzka z jedwabnej, niebieskiej gazy, śliczne tworzy połączenie z krótkim kaftanikiem bolero, z białej koronki. Kaftanik ten przy epoletkach z koronkowej falbanki, przybrany jest szeleczkami z niebieskiego atlasu, zakończonymi kokardkami. Rękawy gładkie, z materiału spódniczki. Biały, słomiany kapelusz, przybrany jest polnemi różami i kokardą z niebieskiej, atlasowej wstążki.

Ubranie, przybrane zakładkami i czarną koronką.

Rycina Nr 4.

Bardzo oryginalną i dla szczupłych osób stosowaną jest sukienka z szaro-zielonego, wełnianego materiału, której cały stanik, oraz baskina, składa się z poprzecznych zakładek. Spódnica gładka, niezbyt wązka, luźno spada z pod stanika, przewiązanego w pasie czarną koronkową szarfą, z boku związaną na węzeł. Stanik w górze zakończony jest karczkiem z koronki, przytrzymanym szelkami z aksamitu, zakończonymi rozetami. Taka sama rozeta przypięta jest przy kołnierzyku. Rękawy całe z zakładek przybiera w górze koronka, stanowiąca jakoby przedłużenie karczka.

Ubranie formą princesse.

Rycina Nr 5.

Z boku zapięta, powłóczysta, gładka princesse z ciemno-perłowej jedwabnej materii, przybrana jest wstawionym przodem z białej materii, zahaftowanym srebrnymi i zielonymi pailletkami. Nadto, przy przodzie znajdują się wyłogi z zielonego aksamitu, przytrzymane srebrnymi guzikami. Przód, wycięty wokoło szyi, podłożony jest takimże, jak wyłogi aksamitem. Okrągły kapelusz, upleciony z białej i czarnej, fantazyjnej słomy, przybrany jest białą gazą, spiętą z przodu agrafą i dwoma białymi, strusimi piórami, przypiętymi po bokach.

Ubranie z odmiennym, kaftanikowym stanikiem.

Rycina Nr 6. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 97—101).

Spódnica i rękawy z materii szaro-oliwnej w deseń. Kamizelka i pas szeroki z aksamitu w kolorze oliwnym, naszyte pailletkami. Kaftanik obcisły, krótki, w rodzaju bolera z szarej, gładkiej materii, schodzący w kształcie epoletów na ramiona, z wyjątkiem małych wyłogów, naszyty cały wązka, o cień ciemniejszą wstążką i pailletkami.

Ubranie jedwabne z koronką.

Rycina Nr 7.

Suknię formą princesse z materii mieniającej zielonej z czarnym, przykrywa gładka tiunika z czarnej, grubej koronki. Tiunika łączy się z koronkowym, wyciętym stanikiem, który pokrywa jedwabną suknię aż do ramion. Tiunika z jednego boku krótka, przewleczoną jest u dołu czarną aksamitką, zakończoną rozetą. Takie samo przewleczenie zdobi wycięcie koronkowego stanika, a prócz tego, z czarnej aksamitki zrobione są szelki i podwójne przewiązanie, zastępujące pasek. Duży, okrągły kapelusz z srebrzystej słomy, przybrany jest pękiem ponsowych maków i dwoma strusimi piórami w kolorze zielonym do cieniu.

Ubranie z koronkowym karczkiem.

Rycina Nr 8.

Ubranie z fiolkowego voile'u składa się z gładkiej spódnicy z falbaną i ze stanika mocno obciągniętego na plecach, udrapowanego w kształcie bolera z przodu i przybranego karczkiem z gipiury éceru, naszytej czarnymi pailletkami. Drapowany przód stanika rozchodzi się na lekko

wyrzuconej kamizelce w rodzaju bluzki, z materii jedwabnej w kolorze sukni. Na pasek użytą jest ta sama materia. Rękawy gładkie przybiera w górze takąż sama gipiura, jak ta, z której wykonany jest karczek.

Sukienka dla dziewczynki od 11—12 lat.

Rycina Nr 9. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 38—44).

Spódniczka i rękawy z jasnego, szarego sukienka. Bluzka z jedwabnego fularu w kratę. Epolety zastąpione falbankami z koronki. Bluzka z tyłu kryto zapięta, lekko wokoło wyrzucona i spięta paskiem z wstążki odpowiedniej do krat fularu, zakończonym niewielką kokardą.

Suknia z kaftanikiem i bluzką z pół-długimi rękawami.

Rycina Nr 10.

Spódnica i kaftanik z szaro-niebieskiego, wełnianego materiału. Kaftanik obwiedziony dookoła plisłą przestębnowaną, z materii jedwabnej w ciemniejszym odcieniu, zakończoną sutaszem. Bluzka marszczona dookoła z niebieskiego atlasu „Liberty,” z przodu naszyta plisowa-



Nr 1. Ubranie wizytowe jedwabne z gipiurwym stanikiem.



Nr 2. Ubranie dla chłopczyka od 12—13 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 70—78).
Nr 3. Ubranie dla dziewczynki od 13—14 lat.

nemi falbankami. Rękawy do łokcia, z marszczonych bufek, zakończone dość szeroką falbaną.

Letnia suknia z fularu.

Rycina Nr 11.

Materyał: fular „éeru“ w czerwone punkty. Spódnica z przodu w kształcie otwartej tiuniki, naszyta jest falbaną, zakończoną ponsową wypustką i ozdobiona ścięciem „point d'épine“, czerwonym, grubym jedwabiem. Takież same dwie falbanki, zakończone spódnicą u dołu. Bluzkowy stanik, przybrany kamizelką z batystu, przeciągająca się od karczka i ułożona tak samo jak kar-

Nr 4. Ubranie, przybrane zakładkami.

czek, w drobne, poprzeczne zakładki, w paru odstępach naszyte gipiurową wstawką. Karczek ten i kamizelka, podłożone są gładką, ponsową materyą. Dookoła karczka i wzdłuż kamizelki przyszyta jest falbana odpowiednia do falban na sukni. Na pasek użytą jest ponsowa, atlasowa wstążka, związana na kokardę.

Ubranie z etaminy i koronki.

Rycina Nr 12.

Spódnica z piaskowej etaminy na jedwabnej, niebieskiej podszewce, przód i karczek wstawione ma z koronki jedwabnej „ecru“. Brzeg spódnicy wokół zakończy kilka-razowa stębnówka. Stanik z gipiury, przykryty jest w części fałdowaniem upięciem z etaminy, krzyżującym się na plecach i na przodzie w rodzaju krótkiego bolera. Upięcie to zakończone jest potrójnym, stębnowanym kołnierzykiem. Wąskie rękawy prawie od łokcia naszyte są koronką. Na pasek użytą jest niebieska wstążka.

Poduszka z haftem, naśladowującym malowanie.

Rycina Nr 18. (Deseń odwrotna strona tablicy fig. 110).

Na poduszce 39 centim. długiej, 29 centim. szerokiej, z jedwabnego, żółtawego rypsu, ślicznie odskakuje haft, wyobrażający pęk alpejskich fiołków i kilka pojedynczo rzuconych kwiatków, oraz liści. Haft wykonany jest ścięciem zupełnie płaskim, bez podłożenia, lecz bez znajomości rysunku wykonać się nie da, ponieważ cały efekt haftu polega na umiejętnym wycieniowaniu kwiatków i liści. Na kwiatki użytemi są jedwabie w kilku odcieniach różowo-lila. Na liście w odcieniach zielono-olive. Rogi poduszki zakończone są w miejsce kokard lub kwastów, riuszami z materyi tej samej, co wierzch, podszytej materyą zieloną. Na riusz taką potrzebny jest pas materyału pół metra długi, 6 centim. szeroki. Na odwrotną stronę poduszki użytą jest materya zielona „pongé“.

Kosz do papieru, ozdobiony haftem.

Rycina Nr 19. (Deseń odwr. strona tabl. fig. 109).

Kosz w rodzaju skrzynki z ciemnego drzewa, 33 centim. wysoki, 26 centim. w kwadrat mający, objęty jest wokół ramą w gżems wyrobioną (kelowaną) i takimże gżemem otoczony jest u dołu. Ścianki połączone są kanelowanymi fularkami. Dwie ścianki są z drzewa,

Nr 9. Sukienka dla dziewczynki od 12—13 lat. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 38—44).
Nr 10. Suknia z kaftanikiem i bluzką z pół-długości rękawami.

dziony karczek, rękawy w górę i przy ręku, oraz mały, wykładany kołnierzyk, spoczywający na kołnierzyku stojącym i podwiązany krawatką.

Nr 8. Ubranie z koronkowym karczkiem.

w dwie przeciwległe oprawiony jest haft, do którego użyć można deseń, podany do ryciny Nr 22.

Sukienka dla dziewczynki od 5—7 lat.

Rycina Nr 20. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 79—90).

Marynarska sukienka z szafirowego szewiotu, przybrana jest taśmą białą na spódniczce i na rękawach, a zaś ciemną taśmą na białym kołnierzu i na takimże napierśniku i pasku. Fałdowane przody bluzki krzyżują się w stanie. Na białym napierśniku wyhaftowana jest kotwica.

Teczka na gazety, ozdobiona haftem.

Rycina Nr 22 i 13. (Deseń odwr. str. tabl. fig. 110).

Na suknie, w kolorze zielonym, mającym 36 centim. długości a 25 centim. szerokości, wykonany jest haft jedwabiami o jasnych barwach, wskazanych na fig. 109 i zwykłym sposobem, to jest za pomocą kalki przeniesiony na materyał. Haft ten, oprawiony w ramę z ciemnego drzewa, stanowi wierzchnią stronę teczki, której stronę spodnią zastępuje cienka deseczka. Haft przedstawia makówki, kwiaty wyszyte jaskrawym kolorem ponsowym, gałązki kolorem ciemno olive, liście zielonym w kilku cieniach. Ścieg takiż sam, jak na hafoie do poduszki (ryc. Nr 18). Teczka i kosz do papierów ryc. Nr 19, stanowią mogą garnitur, ponieważ stalugi, na których spoczywa teczka, odpowiednie są do kosza.

Kostium podróży, bluzki, kołnier i kapelusz.

Rycina Nr 10—16 w Bl. Nr 20. Krój pierwsza str. tabl. Nr I, fig. 1—24).

Gładki kostium z taffetkiem z ciemno-szafirowego szewiotu, dopełnionym być może rozmaitemi bluzkami. Wskazujemy tutaj dwie: jedną z niebieskiego batystu w białe paski, drugą z ponsowego taffetas.

Bluzka z batystu (rycina Nr 14), może być noszona z odmiennymi kołnierzykami. Ryc. Nr 10, 11 i 12 wskazują najmodniejsze kołnierzyki, zapięte z przodu lub z tyłu, które przypinają się do paska, obejmującego szyję bluzki i opatrzonego dziurkami.

Bluzka (rycina Nr 15) z ponsowego taffetas, przybrana jest wązkim, białym szlaczkiem. Szlaczkiem tym naszyta jest fałda z przodu, kilkakrotnie obwie-



Nr 5. Ubranie formą princesse.

Ubrania w wysługi, corso i t. p.

Nr 6. Ubranie z odmiennym stanikiem.

(Krój odwrotna strona tablicy Nr XI, fig. 97—101).

Nr 7. Ubranie z taffetas i koronki.



Nr 12. Ubranie z etaminy i koronki.

1. Zupa rakowa.
2. Paszteciki w muszlach.
3. Potrawa z mostków cielęcych.
4. Szparagi.
5. Kurczęta z sałatą.
6. Galaretki ananasowa.

Obiad na Niedzielę.



Nr 13. Część haftu do ryciny Nr 19 i 22.
($\frac{2}{3}$ wielkości naturalnej).



Nr 18. Poduszka z haftem, naśladowującym malowanie.
(Deseń odwrotna strona tablicy fig. 110).



Nr 14.

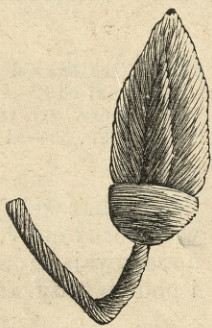


Nr 15.

Nr 14-17. Część haftu do ryciny Nr 18.



Nr 16.



Nr 17.

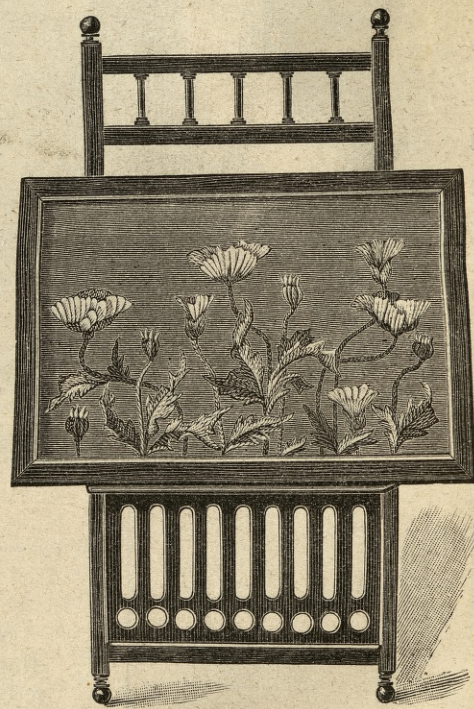


Nr 20. Sukienka dla dziewczynki od 6-7 lat.
(Kroj odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 79-90).

Nr 21. Lalka w wózku, kapełusz, parasolka.
(Kroj pierw. strona tablicy Nr VI, fig. 48-52).



Nr 19. Kosz do papieru, ozdobiony haftem.
(Deseń odwrotna strona tablicy fig. 109).



Nr 22. Teczka na gazety, ozdobiona haftem.
(do ryciny Nr 13). Deseń odwr. str. tabl. fig. 110.

UWAGA. Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym numerze „Bluszczu” podać się mające.

Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Plócienka, Satynki, Batysty, Dryliszki na ubrania męskie, dziecięce i liberyjne,
Zefiry, Kretony, Firanki, Dywany, Portyery, Materyały meblowe.

Gotowa bielizna męska i damska.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

PRÓBY I CENNIKI ODWROTĄ POCZTĄ FRANCO.

Pończochy
i
skarpetki
czarne
i fantazyjne.